



ANTONI GÓRSKI

Warszawa, 10 lutego 1945 r.

Do Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie

W załączeniu przesyłam wspomnienia z pobytu mego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu od 15 sierpnia 1940 roku do 11 grudnia 1941 roku, do dyspozycji. Jednocześnie jestem gotów [przedstawić] szczegółowe dane dotyczące obozu w Oświęcimiu.

Antoni Górski

Praga, ul. Otwocka 7 m. 27

Antoni Stanisław Górski

ur. 18 sierpnia 1914 r. w Warszawie, żonaty, 1 dziecko, rolnik, 6 klas gimnazjum,

kurs radiotechniczny w Kielcach, specjalista radiotelegrafista i radiotechnik.

Warsztaty przy ul. Trębackiej 2 i 3 prowadziłem jako kierownik [w] 1936 i 1937 r. włącznie

Niżej podaję garść wspomnień z pobytu swego w obozie koncentracyjnym Oświęcim, gdzie przebywałem szesnaście miesięcy jako uczestnik pierwszego transportu warszawskiego, przywiezionego w dniu 15 sierpnia 1940 roku do Oświęcimia.

1. Położenie obozu koncentracyjnego Oświęcim (Auschwitz)

U podnóża Beskidu Śląskiego, przy szosie wiodącej z Bielska do Katowic, leży miasteczko Oświęcim, zwane przez Niemców Auschwitz. Trzy kilometry przed miasteczkiem tuż przy samej szosie znajdował się obóz koszarowy Wojska Polskiego. W tym to miejscu po pewnych przeróbkach barbarzyńcy hitlerowscy zatknęli swe sztandary trupiej głowy i SS – drogi krzyżowej setek tysięcy męczenników, którym nie było dane wytrwać.

2. Klimat

Jakby sprzysiężony z barbarzyńcą, przy wykańczaniu ludzi niemałą rolę odegrał tamtejszy specyficzny klimat. W lecie w ciągu dnia podczas upału nagle czarne, ołowiane chmury pokrywały cały horyzont, zrywał się lodowaty wicher, a okrutny deszcz smagał skostniałe członki *heftlinga* w pokrzywionej piżamie. Takie zmiany temperatury powtarzały się w ciągu dnia kilkakrotnie. W zimie znów silne mrozy kosiły całe szeregi, bez czapek i płaszczy, wygłodniałych, więźniów.

3. Założenie obozu

Kilkuset więźniów przewiezionych z więzienia na Montelupich w Krakowie i aresztowanych Ślęzaków założyło jeden z najcięższych obozów koncentracyjnych Rzeszy w dniu 14 czerwca 1940 roku.

4. Opieka, nadzór, kapowie

Komendant, *führerzy* i strażnicy, konwojenci musieli to być bezwzględnie dobrze zaawansowani, wypróbowani mordercy z trupią czaszką i piorunami. Notoryczni kryminaliści, którzy przesiedzieli prawie całe swoje życie we wszystkich obozach Rzeszy, zostali tu przywiezieni jako bezpośredni nasi kaci i pod nazwą kapo wyśmienicie swój urząd sprawowali, prześcigając się wzajemnie w wyrafinowanych katuszach.

5. Apele

Znany rygor i porządek niemiecki tu był wielokrotnie spotęgowany i niemało ludzi wyprowadził kominem krematorium. Po rannym gongu, przed odmaszerowaniem do pracy, ustawiali się wszyscy swoimi blokami na placu zbierek (przeciętnie blok liczył 700 do 800 ludzi). Zaczynało się od ustawiania, równania, potem krycia, wreszcie liczenia (ma się rozumieć, że wszystko po niemiecku), po czym przekazywanie sobie bloku: przez zastępcę blokowego blokowemu, ten z kolei przekazywał *blockführerowi*, ten znów jak każdy poprzedni sprawdzał (nie żałując mordobicia i ulubionego kopania w nerkę lub w jądra). Wszyscy *blockführerzy* meldowali stany swych bloków *Rapportführerowi*, ten z kolei – podsumowawszy całość – meldował zawsze spóźniającemu się komendantowi, po czym następowała jakaś mniejsza mówka i odmarsz do pracy kolumnami. Po zjedzeniu obiadu znów zbiórka na placu jak po rannym gongu i taki sam apel południowy. Wieczorem z pracy wszyscy wracali na plac, ustawiając się jak na poprzednich apelach, z tą tylko różnicą, że nie wszyscy pracowali w jednym miejscu, niektóre grupy pracowały poza obozem nawet kilkanaście kilometrów, z reguły spóźniały się znacznie.

Musieli być wszyscy na apelu. W najszcześniejszym zbiegu okoliczności apel wieczorny trwał 45 minut, a ileż to razy ci miłośnicy porządku mieli o jednego lub dwóch więźniów więcej lub na przykład po kompletnym obliczeniu i zdaniu ostatnich raportów komendantowi obozu wybiega zza węgła jeszcze jeden więzień... Już wtedy wiadomo, że ktoś powędruje do karnej kompanii. Że więcej było dni słotnych niż pogodnych, wykorzystali to bandyci hitlerowscy, specjalnie trzymając więźniów w postawie zasadniczej z odkrytymi głowami, nie śpieszyli się wtedy z zakończeniem apelu. Ileż to razy poszliśmy spać bez kolacji. Po roku skasowano apel południowy, tak że pozostał tylko ranny i wieczorny, wówczas do pracy szło się na cały dzień. Również wymiar kary chłosty musiał się odbywać po apelu wieczornym przy współudziale wszystkich, którzy musieli patrzeć na nieszczęsnego katorżnika i upojonych w sadyzmie Niemców. Zdarzało się, że na apelu stwierdzono brak jednego więźnia, wówczas rozbrzmiewała syrena swym grobowym głosem, żołnierze rozbiegali się na wsze strony, a wszyscy więźniowie stali w postawie zasadniczej (lub w przysiadzie albo półprzysiadzie) do kilkunastu godzin. Wiele ofiar zносиło się wtedy z placu. A w zimowych miesiącach nawet najkrótszy apel pociągał ofiary.

6. Ubiór więzienny

Po zdjęciu cywilnego ubrania, które powędrowało do przechowalni w papierowej torbie, nagi, ogolony, już zbity, więzień dostaje bieliznę i piżamę w biało-niebieskie pasy z jakiejś pokrzywy, drewniane chodaki lub holenderskie kajaki, czapkę korporantkę, białą szmatkę na wypisanie swego numeru oraz drugą kolorową trójkątną, którą umieszcza nad numerem. Trójkąt może być czerwony – dla politycznych, zielony – dla kryminalistów, fioletowy – dla badaczy Pisma Świętego, różowy – dla pederastów, czarny – dla niechętnych do pracy, czerwony z czarnym kleksem w środku – dla księży, czerwony i żółty jeden na drugim tworzące gwiazdę syjońską – dla Żydów. Te odznaki nosi się na lewej piersi na marynarce i na prawej nogawicy spodni nad kolanem. Kieszeni brak. Karna kompania (SK) nosiła dodatkowo pod numerem czarny okrągły plasterek, niektóre transporty miały dodatkowy szyldzik pod wszystkim z napisem *Im Lgr* (całe życie w obozie). Za broń lub nieudaną ucieczkę dodatkowy czerwony punkt na plecach. W zimie dawali nauszniki i rękawice, jak były – to i płaszcze, i czapki; swetry można było nosić, jak przysłali z domu.

7. Wyżywienie i wydawanie jedzenia

Po rannym myciu na salę wnoszono kotły i wydawano kawę niesłodzoną po małym kubku. Wydawano ją bardzo szybko i resztę czym prędzej wylewano, tak że nie było dnia, by wszyscy

ją dostali. Czasu na obiad była godzina i w ciągu tej godziny można było wykonać tylko jedną czynność z trzech: albo wziąć obiad, albo biec do szpitala na opatrunek, albo stanąć w ogonku do ubikacji. Jednogarnkowa zupa była z zasady niewiele gęściejsza od wody, brukiew, awo, kapusta, krupniczek, marchew i raz w tygodniu gęściejsza. Czasem z okazji odwiedzin jakiejś komisji międzynarodowej był lepszy obiad. Przepisowo początkowo dawano $\frac{3}{4}$ litra, ale w misce było pół litra. Potem, kiedy gatunkowo zupy znacznie się pogorszyły, przepis kazał dawać litr zupy i tu znów każdy otrzymywał $\frac{3}{4}$ litra.

Te braki czy oszustwa wynikały z tego, że obiad jak zwykle był wydawany przez samego salowego lub jego zastępcę, a ci mieli wielu zasłużonych i przyjaciół do wystugiwania się nawet przy wymiarze kary. Nikt na to nie zwracał uwagi, bo wiedział, do czego by to doprowadziło: wcześniej czy później, w ten czy inny pośredni sposób wydający obiad zemściłby się. Kolacja była wydawana po wieczornym apelu: 200 – 250 g chleba, troszkę marmolady lub śmierzdzący serek albo kawałek kiełbasy czy kiszki podejrzanego pochodzenia, do tego kubeczek kawy. Czasami były kartofle w łupinach; także w zupie początkowo były kartofle obierane, później jednak były nieobierane. Skasowanie południowego apelu przesunęło obiad do kolacji, odebrało wieczorną kawę, a w porze obiadu była tylko półgodzinna przerwa i gdy było zimno, przywozili po kubku kawy, lecz najczęściej nie. Po moim wyjściu podobno jedzenie jeszcze bardziej się pogorszyło, ale za to pozwolili przysyłać paczki żywnościowe.

Kantyna chyba dlatego się tak zwała, żeby podli gestapowcy wyciągnęli ostatni grosz z wygłodzonego więźnia, dając mu za duże pieniądze bezwartościowe rzeczy. W ogóle do jedzenia prawie nigdy w kantynie nic nie było, a sałatki – zgniłe, octem mocno złane buraki, wstrętne, że choć człowiek był głodny, to z wykrzywieniem gęby jadł, albo wykorzystywali moment, że gdy owych sałatek nie chciał nikt kupować, wówczas wstrzymywali sprzedaż papierosów, dając je po trzy sztuki kupującemu porcje sałatki. Poza tym w kantynie owej były żyletki, scyzoryki (za posiadanie których groziła karna kompania), zapalniczki (to samo), wody kolońskie, ołówki itp. artykuły zupełnie nawet sprzeczne z regulaminem obozu i potrzebami więźnia, który głodny stale biegł do kantyny i odchodził bez pieniędzy, z jakimś bezwartościowym świństwem ersatzowej produkcji niemieckiej.

8. Głód

Głód to było najważniejsze zagadnienie w obozie, bardzo sprytnie przez hitlerowskich katów zorganizowane. Przychodzący z innych więzień początkowo chwalili sobie ilość jedzenia,

lecz po tygodniu już zmieniali zdanie, gdyż ciężka do upadłego praca i jej tempo wymagały większych porcji. Człowiek chudł prawie w oczach. Gdy poszło się do łaźni, najlepiej było widać stan więźniów – były to szkielety obciągnięte skórą, z której jakby jeszcze wypompowano powietrze, ani jednego mięśnia. Surowa brukiew, marchew – to były delicje, żeby tylko można było gdzie ukraść. Wielu jadło surowe kartofle, kwiaty koniczyzny, strąki fasoli bukietowej – słowem wiele rzeczy w takim stanie, że człowiekowi nigdy by przez myśl nie przeszło, że można to jeść. Przy śmietnikach, zwłaszcza pod kuchnią, całe tłumy grzebiących, wzajemnie bijące się o miejsce lub jak psy wydzierające sobie jakiś flak utytłany w popiele. Pod oknami bloku, gdzie mieszkali kapowie, całe szeregi więźniów z zadartymi głowami z natężeniem śledziły, czy kto nie wyrzuci jakiejś podeptanej skórki od chleba lub wędliny albo ogarka papierosa. Kto obrządział świnię, miał niezły dochód ze sprzedaży współtowarzyszom jedzenia przeznaczonego dla nich. Otręby, kartofle z otrębami, nawet zimne, były bardzo poszukiwane. Bardziej pomysłowi chwyтали psa, wówczas można było przez znajomość kupić za kilka marek porcyjkę wyśmienitego mięsa psiego. Słowem – wygłodniały więzień jadł wszystko, w ilości, w jakiej się dało. Kiedyś udało mi się kupić od ulubieńca kapa za sześć marek cztery listy dość gęstej zupy. Mimo że byłem po właściwym obiedzie po kilku minutach nie było nic w kubku. Jeden z kolegów kupił całą faskę sałatki (ok. 8 litrów pojemności) i prawie całą zjadł sam – kosztowało go to życie. Wiele było podobnych wypadków. W każdym bądź razie wychudzony do ostatka więzień nagle puchł i dni jego były już policzone.

9. Konieczność pracy, rodzaj wykonywanych prac

Było nie do pomyślenia, żeby był kto bez pracy. Nawet ludzie śmiertelnie chorzy musieli wraz z innymi pracować. Pracować na tempo, pod kijami i knutami, biegiem, bez wytchnienia. Ktoś może sobie pomyśleć, że to jest nie do wytrzymania, to niemożliwe. Tak, dlatego też zawsze powracające z pracy grupy niosły długie szeregi zatłuczonych na śmierć, okaleczonych w pracy więźniów. Kilku kapo miało grupę ludzi do wykonywania pewnej pracy, podział był na setki, te z kolei na dwudziestki lub dziesiątki. *Vorarbeiterzy* pilnowali najmniejszych grup i pomagali swym kapo w wymierzaniu kar. Po rannym apelu, poustawiani czwórkami w setkach odmaszerowywaliśmy przy dźwiękach własnej orkiestry i obecności najważniejszych katów na miejsce naszej pracy. Niektóre grupy zostawały w obozie, gdzie pracowały w kuchni, kartoflarni, cerowni lub przy podwyższaniu albo stawianiu nowych bloków dla więźniów. Ta ostatnia grupa była najliczniejsza. Poza obóz wychodziły grupy, które pracowały w warsztatach, przy drzewie, przy inwentarzu, w rolnictwie. Grupy, które szły kilka

kilometrów poza obóz, otoczone były kordonem SS-manów z karabinami i rozpylaczami. Ponieważ w promieniu dziesięciu kilometrów wszystkie wsie i miasteczka były wysiedlone, więc rozbierało się domy i materiał z tych rozbiórek był przynoszony na barkach więźniów do obozu. Na bocznicy zajeżdżały pociągi z materiałem budowlanym i innym, który chodził wyładować specjalne grupy. Wozy były zaprzężone w ośmiu więźniów, platformy w piętnastu. Konie były używane tylko do uprawy roli.

Do najbardziej wartościowych posad w obozie zaliczano wszelkie prace wykonywane pod dachem. Tam też jeden przez drugiego, omal po trupach, starał się dostać, używając wszelkich możliwych środków. Do najgorszych i najcięższych zaliczały się wszelkie prace pod gołym niebem, ze względu na tamtejsze warunki atmosferyczne, jak i na narażenie się, gdyż zawsze było się widocznym i nie można było nawet swobodnie odetchnąć.

10. Czystość, mycie się, ubikacje

Czystość w obozie była bardzo przestrzegana, wszak obóz był pod opieką ludzi Zachodu. I tak kąpiele początkowo były co tydzień, potem co dwa tygodnie, nieraz dłużej niż co miesiąc. Podczas kąpieli woda była zupełnie nie grzana, kiedy był siarczasty mróz, czasami znów ukrop, że znów nikt nie podchodził pod prysznic. W ogóle ta cała zabawa w kąpiel trwała tak krótko, że najszybszy ledwo się zdążył rozebrać, już musiał się ubierać.

Nie słyszałem nawet z opowiadań, by ludzie mogli być w takim stopniu zawszeni. Podobno należałem do najmniej zawszonych. Dzień w dzień, w każdej wolnej chwili wybijałem robactwo i codziennie liczba zabitych wszy musiała grubo przekroczyć liczbę stu. Wszystkie szwy bielizny i ubrań miały całe supły wszy, które w niemożliwy sposób gryzły schorowaną skórę. Pchły były także w olbrzymiej ilości. Dopiero śmierć dwu SS-manów na tyfus plamisty skłoniła władze obozu do odwyszawienia, które trwało tydzień i było nawet bardzo skrupulatnie wykonane.

Umywalni na blokach nie było. Dookoła bloków było rozstawione ze dwadzieścia fasek od sałat z wodą, w tej to ilości musiał się umyć siedmiuset ludzi, a czasu było mało. W zimie zamiast wody był lód, lecz pozostał czasami śnieg. Wszyscy bez koszul, nawet w największy mróz, musieli opuścić blok i po umyciu czekać, aż posłania nocne będą uprzątnięte. Na terenie całego obozu, kiedy ludzi było około dziesięciu tysięcy, były trzy ubikacje mieszczące kilku więźniów. Stąd olbrzymie ogonki, do samego gongu wieczornego.

W ogóle tu rozgrywały się straszne tragedie, gdyż co drugi więzień był chory na *durchfall*. W nocy nie wolno było na krok opuścić bloku, gdyż reflektory i karabiny maszynowe na wieżyczkach ustawionych w wylotach ulic między blokami nie przepuściłyby nikogo. Toteż w nocy można było korzystać z ubikacji blokowej. Ta funkcjonowała dobrze przez dwie do trzech godzin, po czym sedesy były całkiem wypełnione, a na podłodze było kału z uryną do kostek. Więźniowie chodzili boso i wracając, deptali po twarzach śpiących towarzyszy. Podczas pracy załatwiać tego rodzaju czynności nie było wolno, chyba że się przebłagało żołnierza czy kapo. Zajmowanie sedesu było również ograniczone. Pod koniec mego pobytu zaprowadzono kanalizację na niektórych blokach i pobudowano wewnętrzne ubikacje.

11. Cele (sztuby)

Początkowo były tylko cztery budynki piętrowe, pozostałe były parterowe. Jeden blok zajmował jedno piętro. Parterowe bloki miały przez środek korytarz, z którego wchodziło się do poszczególnych cel zwanych sztubami. Na sztubie miało pomieszczenie do jedzenia i do spania od siedemdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu więźniów. Do każdego wydawania jedzenia na sztubie odbywała się zbiórka i wydawano podług numerów, nazwisk lub szeregiem. Wszystko to odbywało się z wielkim hałasem, nie wyłączając i rękoczynów. Po kolacji wszyscy opuszczali sztubę dla rozestania sienników na podłodze. Tak w dzień, jak i w nocy na sztubie króluje pan sztubowy, który jest wyrocznią i władcą swych podwładnych. Nie szczędzi też swych rąk uzbrojonych w pejcz lub ordynarny kij, niezależnie od tego posiada różnych pomagierów. Tak w zimie, jak i w lecie całą dobę okna są otwarte, dla powietrza. Na sztubie przebywać nie wolno, jedynie podczas snu i jedzenia lub wyjątkowo w niedzielę, jeśli się nie pracuje, robiąc przy sobie generalny porządek.

12. Spanie

Na pół godziny przed gongiem wieczornym na całej podłodze sztuby rozścielano sienniki z odrobiną słomy wewnątrz, następnie wpuszczano stłoczonych więźniów, rzucając koce i poganiając, że mało czasu, by jak najdokładniej się tratowali. Po zdjęciu wierzchniego ubrania, najczęściej mokrego, i włożeniu go pod głowę wraz z butami układali się więźniowie, wciskając się w małe luki. Na siennik przypadało trzech lub czterech więźniów leżących jak szproty w pudełku. Koc przypadał na dwóch. Przy układaniu dochodziło codziennie do scysji, że ten leży na wznak, tamten za bardzo się rozłożył lub ma dwa koce. Takie scysje kończyły się wskoczeniem sztubowego na upatrzoną ofiarę nogami i tratowaniem jej, bez uważania na twarz i inne czułe miejsca.

Z odgłosem gongu gaśło światło i nie wolno było rzeknąć ani słówka, ten co szepnął coś, na pewno do rana nie doczekał lub był solidnie podrapany. No i rozpoczynały się wędrówki do ubikacji, które trwały do rannego gongu. Przeciętny więzień wychodził w nocy sześć lub siedem razy, przeciąg wrywał drzwi z rąk, spocony więzień przechodził, depcząc towarzyszy, sikając po twarzach. To były piękne obozowe noce. Pod koniec mego pobytu zaczęto wprowadzać trzypiętrowe łóżka. Zmarłych podczas nocy kolegów wynosiło się na korytarz lub spało się [obok nich] do rana.

13. Choroby i szpital

Do najpowszechniejszych chorób w obozie należy zaliczyć bezsprzecznie *durchfall*, to jest czerwonkę, objawiającą się silnym rozwolnieniem z krwią. Nie zawsze chory miał siłę powstrzymać atak. Była to choroba bardzo ciężka, prawie nieuleczalna, chory błyskawicznie tracił wagę, siłę, cerę – umierał w okropnym stanie. Prawdopodobnie przyczyną tej choroby były wodniste zupy i kartofle w łupinach.

Drugą powszechną chorobą była flegmona, która tworzyła się na odbitych miejscach na nogach, biodrach, miednicy, czasami rękach. Flegmona w trzydziestu procentach była uleczalna, lecz pozostali przy życiu byli inwalidami.

Choroby serca, płuc, opuchlizna głodowa, pęcherz i stałe okaleczenia – to naturalne choroby zabierające resztę chorych.

Do doktora można było stanąć tylko przy wieczornym apelu, na opatrunek – tylko w południe. Wszędzie olbrzymie ogonki, nigdy wszystkich nie zbadali, o przyjęciu do szpitala decydowała liczba miejsc z góry ustalona regulaminem.

Naczelnym lekarzem-flegerem z polskich więźniów był dr Dering. Przypisują mu brak serca, że nie wszystkim udzielał pomocy. Niestety, ja wiem, że robił bardzo dużo, narażając się władzom, chociaż ci, którzy się nie dopchali do niego, mają osobistą urazę. Właściwie wszyscy stojący w ogonku nadawali się tylko do szpitala, ale trzystu lub więcej miejsc nie było, tylko dziesięć lub dwanaście. Kogo wziąć? Czy tego, który już kona, czy ciężko rannego, czy średnio rannego? Niełatwą rzeczą było znaleźć wyjście. Kto się na tę izbę chorych dostał, temu przede wszystkim przepisywano czym prędzej dietę, no i ujmowano, co się dało z jedzenia. Lekarstw prawie nie było, jedynie proszki uniwersalne, maść na wszystkie choroby i bandaż z papierów.

Zapomniałbym o chorobach skóry, z których najczęstszy był świerzb, egzema i wszawica, czasami męczące jednocześnie biednego więźnia.

14. Śmiertelność, krematorium

W miesiącach: listopadzie i grudniu 1940 oraz w styczniu 1941 roku warunki obozowe były najbardziej ciężkie, śmiertelność wynosiła 84 proc. Warszawa była wówczas zasypywana telegramami oświęcimskimi, ku wiośnie trochę zmniejszył się napływ zawiadomień. Jeśli człowiek umarł w nocy przy koledze pod jednym kocem, wynosiło się go na korytarz przed samym rannym gongiem, rozbierając i wypisując numer na piersiach. Po gongu ubranie wędrowało do oddziału odzieżowego, więzień był przenoszony w kocu pod szpital, gdzie po krótkich oględzinach wkładano go do trumny z innym towarzyszem. Jeśli więzień umarł w pracy, przynoszono go do obozu i układano na końcu ustawionego bloku w szeregu i w rzędzie, gdzie go zwyrodniali hitlerowcy kopali lub nadeptywali twarz, śmiejąc się z jej wyrazu. Po apelu odnoszono zmarłego więźnia pod szpital, gdzie służba szpitalna rozbierała go.

W okresie największej śmiertelności była specjalna grupa więźniów (kolumna transportowa), która cały dzień nosiła zmarłych do krematorium (grupa 40 ludzi). Trumny służyły tylko do przenoszenia i w każdej układało się po dwóch więźniów. Ponieważ krematorium mieściło się za bramą, więc gdy się przechodziło, wartownik specjalnym pogrzebaczem każdego trupa szturchał, czy naprawdę nie żyje.

Krematorium było widoczne z daleka, komin jak cegielniany, tylko kwadratowy. Po wejściu do przedsionka na lewo [był] pokój do sekcji itp. operacji, na prawo coś jakby kaplica – mały pokoik z katafalkiem z drzewa, reprezentacyjne miejsce dla rodziny, gdyby jakimś cudem uzyskała możliwość obejrzenia zwłok. Dalej małym korytarzykiem w prawo do dużej sali, gdzie składano nieboszczyków wyjętych z trumny. Na wprost wejścia głównego z przedsionka wejście do dużej sali, gdzie mieściły się dwa wielkie piece, po dwa paleniska każdy. Każda pieczara pieca była zasunięta ciężką żelazną pokrywą na bloczkach. Do pieczary wsuwano ciało na nieckowym wózku, gdzie przebywał od kilkunastu do dwudziestu pięciu minut, po czym wysuwano szczątki, resztę kości niewypalonych tłuczono drewnianym młotem i zsypywano do blaszanej urny z wytłoczonym numerem i nazwiskiem zmarłego więźnia. Z zewnątrz budynek krematorium był zasypywany ziemią jak piwnica. W specjalnej sali stały olbrzymie szeregi urn. Początkowo na żądanie rodziny zmarłego urnę z popiołami wysyłano, potem tego zaniechano.

15. Kary

Niewiele trzeba było, by zasłużyć na karę. Wymienię tu tylko kilka przewinień, jak noszenie przy sobie podczas pracy papierosów, scyzoryka, zapalniczki lub noża. Palenie podczas pracy, rozmawianie z więźniem z karnej kompanii, zwracanie się rodziny do obozu o wypuszczenie więźnia itp. Zanim więzień otrzymał właściwy wymiar kary za dane przewinienie, potracano go wszędzie, kopano, bito, każdy morderca hitlerowski próbował swej siły na bezbronny. Odrapany, skopany więzień stawał przed swymi katami. Do najpowszechniejszych kar zaliczyć można chłostę, która zawsze odbywała się przed ogółem. Specjalny stół ze skośnym blatem ku dołowi i kleszczami na nogi służył jako podium, które musiał przynieść i odnieść sam bity. Po obnażeniu i przytrzymaniu przez dwóch oprawców, innych dwóch atletycznej budowy ze skórzanymi pejcami dwumetrowej długości, ze stalowym gwichtem na końcu, smagało na przemian więźnia, który jeszcze musiał po niemiecku liczyć ciosy. Inna znów kara polegała na tym, że obnażone ręce zostawały z tyłu splecione łańcuchem lub twardym powrozem, łańcuch zwisający podciągano przez zaczep u sufitu wraz z więźniem lub usuwano stołeczek spod nóg i więzień zawisał na wykrzywionych rękach. Trwało to od kwadransa do godziny. Po takiej karze przez kilkanaście dni dygotały ręce i sam więzień chodził w gorączce. Podczas zwieszania na łańcuchu barbarzyńcy bawili się w różny sposób ze swymi ofiarami. Nieraz za karę wyznaczano kilka dni bunkra (ciemnicy) z pełnym jedzeniem raz na trzy dni oraz stałym odwiedzaniem zwyrodniałych Niemców, którzy nie szczędzili swych podkutych butów i innych narzędzi. Za kradzież koledze żywności złodziejowi zawieszano na plecach i piersiach sztyldzik i przez cały dzień był prowadzany przez *Lageraltestera*, gdzie nań wszyscy pluli i bili. Kary chłosty uprawiano wszędzie i na każdym miejscu, bez udziału ogółu. W ogóle bito wszędzie i bił każdy, kto tylko miał jaką władzę i tym, co miał pod ręką: pejcz, drąg, pasek, kawał dyszla. A przepisaną liczbę dwadzieścia pięć parokrotnie przekraczano. Bicie w twarz należało nawet do pochlebstw, było w tonie, była to konieczność. Bez najmniejszej przesady mogę powiedzieć, że przez cały czas mego pobytu w Oświęcimiu nie więcej jak pięć dni miałem takich, że nikt mnie nie uderzył. Również za jakieś nawet drobne przestępstwo szło się do karnej kompanii (SK).

16. Karna kompania (SK)

Nietrudno było dostać się do karnej kompanii. Wszyscy więźniowie z karnej kompanii byli dokładnie izolowani od pozostałych, tak blok ich, jak i podczas pracy. Za rozmowę z więźniem karnej kompanii już się człowiek znalazł razem z rozmawiającym. Praca, którą

więźniowie wykonywali, była najcięższa, specjalnie wybrana. Kapo i *vorarbeiterzy* byli bardziej zastruszeni i więksi sadyści. Tempo pracy było znacznie przyspieszone i „zabawy wesołe” z bezbronnymi więźniami bardziej wyrafinowane. Najkrótszy czas pobytu w karnej kompanii to sześć tygodni, najdłuższy – pięć miesięcy dla przeciętnego więźnia. Więźniowie z dodatkowym szyldzikiem pod czarnym punktem z napisem *Im Lager* byli bezterminowo, na całe życie, co oznaczało, że szybko byli wykańczani w ten czy inny sposób. Okolony i szczelnie zastłonięty dziedziniec karnej kompanii był miejscem setek tysięcy zbrodni, egzekucji itp. W bunkrach zginęły setki tysięcy przywiezionych żołnierzy rosyjskich i polskich, których niemieccy barbarzyńcy katowali i uśmiercali strzałem w kark. Na strychu bloku karnej kompanii było miejsce tortur, jak wieszanie na słupkach itp. Po odbyciu kary nieszczęśni więźniowie wychodzili na obóz z bardzo poważnymi obrażeniami, kaleki. W ogóle, by kto wytrzymał pięć miesięcy w karnej kompanii, był to naprawdę wyjątkowy wypadek.

17. Blok 11 (*Korperschwach*)

Kiedy śmiertelność w obozie osiągnęła najwyższy punkt, władze obozu nie wiadomo za czym wstawiennictwem urządziły specjalny blok dla osłabionych więźniów zwolnionych z pracy. Z każdego bloku wybrano po kilkunastu, kilkudziesięciu ciężko chorych, silnie odmrożonych, zupełnie niezdolnych do pracy. Odprowadzono ich na nowy blok. Żaden z nich nie chodził do pracy, ale musiał zachowywać się według regulaminu bloku. Po rannym gongu i śniadaniu zbiórki na salach i kolejno wybiegało się przed budynek na miejsce zbiórek. Stało się na placu przed blokiem, jak normalnie podczas apelu, lecz na sztubach mieli prawo zostać najciężej chorzy, którzy nie mogli powłóczyć nogami. Płaszcze i lepsze chodaki oraz czapki były poodbierane. Po apelu wracało się na sztuby. I tu przy otwartych oknach, poustawiani w pięć lub sześć szeregów trzęśli się z zimna wzajemnie nacierający się więźniowie. Co jakiś czas wpadał na salę blokowy lub jaki SS-man, wyprawiając z więźniami różne sztuczki dla rozgrzewki. I tak stłoczył na przykład wszystkich w jeden koniec sali, a zewnętrznych chwycił swymi łapami i rzucał na głowy stłoczonych. W ten sposób powstała kupa tratujących się wzajemnie, jęczących chorych więźniów. Palenie było zupełnie zabronione, ale na każdej sztubie zawsze ktoś posiadał papierosa, który podczas rewizji został znaleziony. Wówczas bito wszystkich na pokładankę, po kolei, zaczynając od sztubowego. Gdy zawinił cały blok, blokowy wyprowadzał wszystkich poza budynek i tam dopiero przyglądający się SS-mani mieli piękne widowisko, które pobudzało ich do historycznego

śmiechu. Gdy z innych bloków przybywało więźniów, wówczas robiono czystkę, przez specjalną komisję. Wyrzuceni na obóz chorzy szybko powiększali grono aniołów.

Jakby filią bloku 11 był blok 14, gdzie znajdowali się chorzy do tego stopnia, że nie mogli zupełnie chodzić. Tam już nie wychodzono na plac zbiórek apelowych, chorzy leżeli na słomie pod ścianami.

18. Żydzi i inne narodowości w obozie

W obozie przebywali przeważnie Polacy. Początkowo przywożono dużo Żydów, później coraz mniej, aż po roku mej obecności w obozie nie przywożono ich wcale. Ale też i żadnego nie było i żadnego nie zwolniono w tym czasie. Żydzi przez parę miesięcy byli razem ze wszystkimi, po czym ich oddzielono, a następnie wcielono do karnej kompanii. Potem bez wyjątków wszystkich Żydów brano bezpośrednio już do karnej kompanii. Podczas pracy byli mordowani specyficznie. Dla Żydów był specjalnie sporządzony do ugniatania szosy walec żelazny, pełny, średnicy 1,40, a szerokości 2,50 czy 3 metry. Walec miał potężne dyszle z poprzeczkami. Od szesnastu do trzydziestu Żydów musiało go popychać, ugniatając szosy, drogi lub świeżo nasypyany plac zbiórek. Walec się zapadał, Żydzi, umordowani do ostatka, musieli go wyciągać. Gdy za dużo Żydów ubili przy walcu i więcej nie mieli, wówczas brali Polaków do pomocy. Jeżdżenie tym walcem odbywało się na tempa i biegiem.

Niemców w obozie było około 15 proc., byli to przeważnie kryminaliści przeniesieni z innych obozów. Tym powodziło się w obozie znacznie lepiej niż nam, Polakom. Byli na oddzielnym bloku, zawsze więcej jedzenia dostawali, no i wszystkie co lepsze posady były przez Niemców zajęte.

Czechów w obozie nie było wielu, może kilkudziesięciu.

Księża w obozie mieli zmiennie. Był okres, że byli oznaczeni dodatkowym kleksem w czerwonym trójkącie, wówczas pracowali wraz z Żydami przy walcu, potem przyszedł okres wysyłki do obozów takich jak Dachau, gdzie podobno mogli się modlić w specjalnej kaplicy.

19. Pierwszy transport warszawski

W poniedziałek, 12 sierpnia 1940 roku, hitlerowscy naganiacze zrobili wielką łapankę w centrum Warszawy między godziną 10.00 a 15.00. Szedłem Alejami Ujazdowskimi w kierunku Belwederu, było bardzo mało przechodniów. Przechodząc ul. Matejki

zauważyłem, że trzech żołnierzy legitymowało przede mną mężczyznę i jeden z nich odprowadził go pod mur na rogu. Chciałem skręcić w ul. Matejki, lecz zobaczywszy, że tam jest pełno wojska, poszedłem prosto. Dwóch żołnierzy krzyknęło na mnie: – *Polen*, kiwnąłem głową, że tak. I zaraz przedstawiłem dowód osobisty i zaświadczenie z pracy. Na nic nie patrzyli, tylko jeden podprowadził mnie do stojącej już sporej grupy na rogu Piusa. Była godzina 10.15.

Po półgodzinnym czekaniu przechodziła z Dworca Głównego wielka grupa ludzi, dołączyli nas do niej i pognali ul. Górnośląską do koszar [na ul.] Szwoleżerów. Do godziny 16.00 napływały z miasta nowe grupy aresztowanych przechodniów. Po czym przyjechało kilka maszynistek z maszynami i szereg większych osobistości ze świata barbarzyńców. Jednostki zwalniali, pozostawiał wypisywali kartki do kartotek i przeganiali na ujeżdżalnię. Tu, rozłożeni pokotem na mokrych od kału trocinach, czekaliśmy dwie noce na decyzję. Różne możliwości przychodziły na myśl. Wstać nie było wolno, jeśli ktoś chciał się porozumieć z innym, musiał pełzać lub – gdy żołnierze się odwrócili – chyłkiem skoczyć parę kroków. Gdy żołnierz spostrzegł jakiś ruch, pędził do swej ofiary i tłukł ją kolbą. Aresztowanych na ujeżdżalni było około półtora tysiąca. Raz przywieziono dwa wozy chleba i rozrzucano go pomiędzy leżących.

14 sierpnia od godziny dziesiątej kolumna kilku samochodów i motocykli uzbrojonych rozpoczęła przewożenie więźniów. Uszeregowanych czterdziestu więźniów wskakiwało do samochodu, tratując się wzajemnie, poganianych przez pejczy hitlerowskich oprawców. Z szeroką i grubą jak lina pręgą, kopany z tyłu, wślizgnąłem się do samochodu. Za mną trzech SS-manów dobrze uzbrojonych, zasłaniających wejście. Kilka bud, przedzielanych motocyklami z obsługą karabinowo-maszynową, pędziło przez miasto z dużą szybkością. Przerażeni ludzie patrzyli, kiwając głowami. Mijając ul. Marszałkowską wyrzuciłem drugą karteczkę do żony (pierwszą podałem przez zwolnionego). Przywieziono mnie na Dworzec Zachodni do podstawionego pociągu towarowego. Tu w ten sam sposób jak do samochodu, wchodziliśmy do wagonów, gdzie było ułożone pięćdziesiąt bochenków chleba. Dokładnie odliczono nas pięćdziesięciu, drzwi zatrasnęły się, za chwilę zaplombowano je.

O godzinie 15.20 pociąg ruszył w niewiadome. Gdy jeden ze współtowarzyszy odbił okienko, we wszystkich powstała chęć ucieczki. Jedyne kilku starych ludzi i chorych błagało nas, byśmy tego nie robili, gdyż oni nie wyskoczą okienkiem, a Niemcy zatrzymają pociąg i ich rozstrzelają. Niektórzy śpiewali wesoło. W ogóle panowało przeświadczenie, że wiozą nas do

roboty. Na przejeździe pod Milanówkiem wyrzuciłem trzecią kartkę do żony (wszystkie trzy zostały doręczone).

Gdzieś pod Skierniewicami z sąsiedniego wagonu dwóch aresztowanych wyskoczyło okienkiem. Zsunęli się po małym nasypie i uciekali pomiędzy miedle na polu, prostopadle do toru. Powstał nieopisany harmider, zewsząd strzały karabinów maszynowych i broni krótkiej. Pociąg szybko hamował. Wyskoczyła cała zgraja SS-manów, rozsypała się w pogoni, strzelając na wszystkie strony. Jeden z uciekających przewrócił się, by więcej nie wstać. Drugiego gonił jakiś podoficer i gdy był tuż za uciekającym, przyłożył mu do pleców pistolet, zbieg padł. Po czym ów podoficer kilkakrotnie strzelił obu zabitym w głowę i zanieśono ich do wagonu, skąd zbiegli. Wszystkim ich współtowarzyszom dano chłostę po dwadzieścia pięć, zamknięto drzwi i pociąg ruszył dalej. Jeszcze raz stanął pociąg, gdyż znów uciekł aresztowany, lecz tym razem szczęście sprzyjało mu, stoczył się z dużego nasypu w gęste krzaki i uciekł wzdłuż toru w kierunku wstecznym.

Okropną męczarnią była ta podróż podczas sierpniowego upału, a tu znikąd pomocy, żeby choć odrobinę wody. Gdy pociąg zatrzymał się w Częstochowie, aresztowani wyli o odrobinę wody, lecz wszystko to na próżno.

Nad ranem po wekslowaniach wtoczono pociąg na jakąś bocznice. Przez okienko widziałem porozbierane baraki i rozwalane domy. W pewnej odległości od toru cały kordon żandarmerii i SS-manów z rozpylaczami. Zaczęło się otwieranie drzwi i wypędzanie pejciami. Więźniowie z Pawiaka, którzy z nami jechali, gubili wszystkie swoje pakunki, przewracając się przez nie. W tym nieopisanym chaosie formowano kompanię i odprowadzano do obozu położonego o paręset metrów.

Po dokładnym przeliczeniu nas przeszliśmy bramę z napisem *ARBEIT MACHT FREI*. Bramę obozu koncentracyjnego przekroczyło około 1,3 tys. ludzi aresztowanych na ulicy i 500 więźniów z Pawiaka. Gdy już ostatni więzień przekroczył bramę, rozpoczęło się wyczytywanie nazwisk według alfabetu i ustawianie wyczytywanych w jedną wielką kolumnę. Początkowo myślałem, że jestem w domu wariatów, gdyż nigdy w życiu nie widziałem ubrań w pasy biało-niebieskie, jak nocne piżamy. Lecz niebawem poczcivi kapowie wytłumaczyli mi bardzo dobitnie, że to jest obóz koncentracyjny. Przy okazji pokazali na wysoki komin, z którego wychodził dymek. Ci poczcivi kapo chodzili wśród więźniów i patrzyli na nasze ręce, zrywając

najordynarniej lepsze zegarki lub odbierając pióra wieczne. Po paru godzinach zlitowano się nad nami, dając kroplę wody.

Po odczytaniu wszystkich nazwisk komendant obozu palnął piękną mówkę, którą nam przetłumaczył *dolmetscher*, a mówiła ona nam dokładnie, że w obozie będziemy do końca wojny. Ładna perspektywa, ale za co? Dlaczego? Po pewnych przygotowaniach cała kompania ruszyła pochodem ku kąpielisku, gdzie przebieraliśmy się. Pochód prowadził jeden z księży przepasany postronkiem, niosący miotłę. Na dany znak podbiegłem do pierwszego stolika, kazali mi oddać zapasy jedzenia (niestety już przedtem przerzuciłem je przez parkan głodnemu więźniowi), przy drugim oddałem zapalniczkę, przy trzecim obrączkę, zegarek i pieniądze, które poszły do depozytu. Dalej przyjęto ode mnie całe ubranie, dano mi numerek, który od tej chwili był moim numerem właściwym. Po czym pobiegłem do łaźni, gdzie doktor tylko spytał, czy nie jestem chory wenerycznie, i pod prysznic. Dalej – już w nowe ubranie przebrany – wybiegłem i tu mnie schwytał jakiś olbrzym, pchnął do dużej grupy też przebranych i po pewnej chwili maszerowaliśmy przez plac do budynku oznaczonego numerem 8. Tym olbrzymem był, jak potem się okazało, mój blokowy. Ślżak, z charakteru sadysta. Na bloku dano mi w białą skorupianą miskę zupy z zielonych strąków fasoli. Ach, jak ta pierwsza zupa smakowała, a następne jeszcze bardziej.

Cały pierwszy warszawski transport miał numery od 1 400 do 3 200. Nazajutrz po śniadaniu i po apelu uczono nas przeróżnych komend, zwrotów, liczenia – słowem całego regulaminu obozowego. Po obiedzie dla zaprawy parę godzin biegu boso po szosach i drogach, gdzie brak było między gołymi kamieniami żwiru. I tak codziennie przez pełne trzy tygodnie męczono nas na placu, uczono regulaminu lub zaprawy obozowej. Ta zaprawa stała się pierwszą ogólną męczarnią. Tamtejsi kaci dobrze wiedzieli, że jesteśmy warszawiakami, a słowo Warszawa wstrząsało nimi i starali się jak najdokładniej nas wykańczać. Po prostu dostaliśmy się w paszczę lwa. Wszyscy bez wyjątku zaliczeni byliśmy do ludzi z podziemnej Warszawy, którzy w okrutny sposób tępią obywateli niemieckich, dopiero dzięki odwadze i sprytowi genialnych hitlerowców schwytali oni nas i tu pod odpowiednim konwojem przywieźli. Ile ja razy dostałem lanie za wprowadzanie w błąd, że złapano mnie na ulicy zupełnie niewinnego, bez najmniejszych poszlak. Gdy mogłem, tłumaczyłem, że u nas w Warszawie na porządku dziennym są łapanki na przechodniów. Oburzali się na mnie i zawsze zarobiłem najgorszego kułaka. Więc też ci hitlerowscy oprawcy z zupełnie spokojnym sumieniem (jeśli takowe miał

kiedy Niemiec) wykańczali nas znakomicie, prześcigając się w wyrafinowanych systemach. Wiele ofiar pociągnął ten kurs rekrucki, przede wszystkim odpadli starzy i tędzy.

Prawie po miesiącu dostałem się do pracy. O, jakże ja Bogu dziękowałem, że mogłem pracować, gdy jeszcze cała grupa po placu tarzała się, bita i kopana. Ponieważ biegałem jak każdy bez butów, odbiłem sobie nogę i naprawdę cudem dostałem się na nowy blok chorych na nogi. Na tym bloku na drugi dzień zachorowałem na *durchfall*, dwa dni brałem węgiel i nic nie jadłem. Zapisalem się do lekarza i o dziwo... przyjął mnie wraz z innymi dwudziestu czterema chorymi bardzo ciężko na *durchfal*. A że było to w okresie, kiedy ta choroba przybrała straszne rozmiary, a Niemcy jej jeszcze nie znali, więc też specjalnie się naszą grupą zainteresowali, mając nas jak króliki doświadczalne. Trzeba znów pecha, że ja wyzdrowiałem wtedy zaraz po tych dwóch dniach, a tu komisja wojskowa, bardzo dokładna, i kał trzeba oddać na papier w obecności SS-mana. Och, cołem ja się wtedy napocił, a biedny SS-man stał nade mną i przynaglał, i groził. Już widziałem się prowadzony do karnej kompanii. Na szczęście zmyliłem na chwilę czujność tego wartownika i pożyczyłem od chorego kolegi trochę kału. W ten sposób dostałem się na specjalną sztabę z łózkami, gdzie byłem przez dwa tygodnie na obserwacji. Tu ilekroć pobierali krew lub kał, pożyczalem tych od kolegi. Po dwóch tygodniach wypuścili mnie na obóz, ale com się wygłodził, tom się wygłodził.

20. Drugi warszawski transport

Z okien sztaby, podczas obserwacji *durchfalowej* [widziałem, jak] w połowie września, gdzieś około północy, przyszedł duży transport ludzi. Nazajutrz dowiedziałem się, że jest to drugi warszawski, o numerach od 3 900 do 5 700, czyli znów taka sama liczba ludzi, wziętych identycznie jak w naszym transporcie. Obławy były przeprowadzone na Żoliborzu oraz na Pradze w obrębie ulic Radzymińska i Kawęczyńska. Z tą różnicą, że tym razem brano z mieszkań. Część więźniów była z Pawiaka.

Drugi transport miał więcej szczęścia od naszego, bo dostał swoje własne buty do chodzenia, a zaprawa na placu trwała znacznie krócej i była łagodniejsza.

Po wyjściu na obóz dostałem się do pończoszarni, gdzie cerowano skarpety dla SS-manów, później i nasze. Znów dziękowałem Bogu za łaskę. Ale, że nie ma na świecie nic stałego, po kilku dniach wyrzucono mnie na obóz, dając jak najcięższą pracę, z taczkami przy wykopach fundamentów. Powodem tego nieszczęścia było to, że aby rozmiścić pieniądze

nadesłane z domu, kupiłem w kantine około dwudziestu książeczek bibułek i wziąłem je do pończoszarni dla odstąpienia innym, a tym samym, by mieć drobne. Wszedł komendant obozu, zarządził rewizję i – zobaczywszy – kazał mnie zapisać do raportu, wyrzucając jednocześnie. Po tygodniu byłem zaprowadzony przed kancelarię komendanta, po uprzednim nauczaniu się meldowania. Na dany przez tłumacza znak wszedłem i jednym tchem wykrztusiłem formułę meldunku. Opowiedziałem wszystko szczegółowo. Zawołał więźniów pracujących w kantine i, mimo że zaręczyli o mojej niewinności, to i do nich się o coś przyczepił, tak że ich z pracy usunął, a mnie tylko za to, że miałem raport, sześć niedziel karnych robót dał. Znow koledzy powiadali mi, że w czepku się urodził, że tak małego wymiaru kary komendant nie daje.

Jakimś znow cudem dostałem się do nowej grupy pracy, która była zatrudniona przy rozbiórce baraków, poza obozem. Znow odetchnąłem, że mniej będą bić. Praca była bardzo ciężka, rozbierało się wszystko biegiem i biegiem odnosiło się materiał do obozu. Że praca była naprawdę ciężka to stwierdził nawet sam komendant. Dawano nam od czasu do czasu kawałek chleba lub pół miski zupy, co było znow powodem zazdrości ogółu i dobijano się o naszą pracę. Każdy, kto się też dostał raz, to i trzymał się kurczowo, by nie być zredukowanym. Lecz trzeba nieszczęścia, że wielka belka zakończona gwoździem przygniotła mnie, przebijając gdzieś jednocześnie w okolicy nerek. Nie mogłem wstać, koledzy przynieśli mnie do obozu. Nazajutrz, jako słabego, odrzucono mnie od naszej grupy. Zagoniono mnie do czyszczenia dachówek lub tłuczenia cegieł.

21. Trzeci i czwarty warszawski transport

Gdzieś w połowie października przywieziono z Pawiaka kilkuset więźniów, którym dano numery około 6 300. Ten transport, jak i następne warszawskie, miały to wielkie szczęście, że nie zaprawiano ich wcale w gimnastyce, jak nas, lecz wzięto od razu do pracy. Wprawdzie praca była ostrzejsza od normalnej. Czwarty warszawski transport przyszedł w listopadzie, a numery jego były gdzieś około 8 700. Długa jesień kosiła coraz bardziej wątłych więźniów, ubranych bardzo lichy, bez płaszczy i czapek.

22. Transport Niemców z Dachau

W końcu listopada czy na początku grudnia przyjechało kilkuset więźniów Niemców z Dachau. Więźniowie ci przywieźli do Oświęcimia świerzb, który od tej pory nielitościwie nas gnębił. My w rekompensacie daliśmy im sporą ilość wszy, których znow u nas nie brakowało. Początkowo, w pierwszych dniach, bardzo się z nami zaprzyjaźnili i wówczas opowiadaliśmy sobie warunki obu obozów. Naszym rygorem i katorgami byli zadziwieni i zupełnie bez

przesady mówili, że bardziej ciężkiego i wstrętnego nad obóz oświęcimski nie ma w całej Rzeszy. Natomiast my, słuchając opowiadania o obozie w Dachau, porównywaliśmy go w wyobraźni do sanatorium, wzdychając, by [nas tam] przenieśli.

Od tłuczenia cegieł przegnali mnie do noszenia zmarłych. W każdym bądź razie od wypadku z belką pracowałem cały czas na wolnym powietrzu, ale już nie poza obozem. W jednej pracy trudno było się utrzymać, to przydzielili do innej grupy, to wyrzucili za jakąś błahostkę. I tak, zmieniając ciągle grupy pracy, przeżyłem do Bożego Narodzenia. Zimno okrutne podczas siedzenia przy pracy brukarskiej skłoniło mnie do pomysłu, który dał mi w jakim takim spokoju przeżyć w ruchu, na świeżym powietrzu w zupełnej samodzielności. Po zbudowaniu czterometrowej wysokości muru dookoła obozu, zbudowano następnie równoległe do muru od wewnątrz trzymetrowy parkan z drutu kolczastego na izolatorach w słupach betonowych. Na druty tego parkanu puszczano prąd elektryczny w nocy, by utrudnić ucieczkę. O pięć metrów od poprzedniego parkanu elektrycznego, także równoległe, rozstawione były słupy cementowe, na których miano rozmieścić izolatory z drutami. Przy wierceniu dziurek w słupach i umieszczaniu izolatorów pracowało kilku elektrykarzy. A, że kapo elektrykarzy był stale poza obozem, więc z pierwszego lepszego słupa wyjąłem kilka izolatorów, włożyłem w kieszeń i chodziłem sobie caluteńki dzień dookoła obozu, przystając co pewien czas dla podpatrzenia, czy nie przywieźli pod kartoflarnię brukwi lub marchwi. Nową swoją pracą byłem zachwycony, nieraz całowałem porcelanowe izolatory, że tak pięknie dają mi przetrwać te ciężkie dni. Niestety i tu niedługo mi się udało, jeden z kolegów, bardzo zbity na swej pracy, błagał mnie, bym uprosił kapo od elektrykarzy, by jego przyjął. Co zrobić, nazajutrz musiałem go przyjąć do współpracy, prosząc w naszym własnym interesie o dyskrecję. I oto za dwa dni, gdy wyjąłem swe izolatory z ukrycia i poszedłem na spacer dookoła obozu, zauważyłem, że coś za dużo nas pracuje. Gdy stanąłem w jednym miejscu i przeliczyłem ludzi pracujących i pomagających mi, było ich ni mniej, ni więcej, tylko 72. Do południa chodziłem jak struty, wiedziałem, że już lada chwila będzie katastrofa, a ja nie mam nowej pracy. Zaraz po południu zawołał mnie kapo obozu do sutereny, gdzie spotkałem prawie wszystkich moich pomagierów. Trudno, położyłem się dobrowolnie bez słowa na stołek. Ależ tłukł, bo tłukł. Nie dość, że walił, ile chciał, bo nie liczyłem, nie czułem, ale na zakończenie jeszcze pchnął mnie w zbite szyby, że całą twarz i ręce miałem porznięte. Nie zawsze warto być pierwszym na ochotnika, zwłaszcza gdy wymierzający karę jest nie zmęczony. Cała ta moja kochana praca trwała osiem dni, dni pięknych.

23. Boże Narodzenie

Na parę tygodni [wcześniej] dano każdemu kartkę do wysłania jej rodzinie, która służyła jako pozwolenie na przesłanie jednej paczki żywnościowej o wadze jednego kilograma z okazji świąt. I ja wysłałem swą kartkę. I gdy zbliżały się święta, codziennie wertowałem, nieraz kilkakrotnie, numery więźniów, do których przyszły paczki. Na placu zbiórek wystawiono olbrzymią choinkę z krwawymi żarówkami.

Apel odbył się w Wigilię o dwunastej, a następny odbył się w drugi dzień świąt. Po apelu wigilijnym było wolne, każdy więzień robił porządek koło siebie oraz odwiedzał chorych kolegów na innych blokach, słowem, nie było żadnego przeglądu. Spokój, żaden SS-man nie zamącił uroczystego spokoju.

Ponieważ cudem miałem kawałtka opłatka, więc też latałem jak chart, by choć z każdym kolegą się pocałować i życzyć sobie przy tym okruszku. Gdy wróciłem na swój blok, na sztubie prawie wszyscy rozmieszczeni dookoła, pod ścianami. Jakies stoły pośrodku, prześcierałem przykryte. Na środku stołu stoi maleńki talerzyk, na nim kawałek opłatka. A to zagadka, w jaki sposób dostał się ten opłatek tu na stół – SS-mani, którzy wydawali paczki, bardzo skrupulatnie je rewidowali, a że prawie każda zawierała opłatek, wyrzucali je na ziemię, depcząc jak najdokładniej. Nagle zawołano, że komendant obozu jest koło bloku. Chwila, *Achtung*. Na naszą sztubę wszedł komendant obozu z jakimiś swoimi pomagierami i rozpoczął mowę aktualną, by się pogodzić z koniecznością itp. Nagle przerwał w środku wyrazu, ślepią wlepił w opłatek, który tu dziś niepodzielnie królował, zbladł, poczerwieniał, wreszcie szyderczo ze sztucznym uśmiechem na wargach wskazał na kociół z rzadką zupą i rzekł te słowa: – Do tego się módlcie, to wasz Bóg; a ten na pewno nie da wam jeść. Odwrócił się na pięcie i wybiegł, nie chodząc już nigdzie dalej na inspekcję. Słów tych wysłuchaliśmy w takiej ciszy, z taką powagą, że naprawdę biedny komendant zgadł, że są siły wyższe, nieprzewyciężone. Rozdano po bochenku chleba. Co za łaska. Zjadłem cały kilogram w piętnaście minut.

Podczas dzielenia się opłatkiem nie było chłopca, który by nie zapłakał. Och, jak bardzo było smutno. Po kolacji, naprawdę najedzony, poszedłem do choinki, która na końcu korytarza była urządzona staraniem więźniów naszego bloku. Piękna choinka, pod nią na krześle jeden z kolegów na małej harmonijce grał:

Lulajże Jezuniu, moja perełko

Lulajże Jezuniu, me pieścidełko...

wraz z nim inni, spokojnie, bez przekrzykiwania się wzajemnego, z powagą śpiewali. Gdy spojrzałem po twarzach, w te oczy, oczy wezbrane łzami, uciekłem, by nie ryknąć jak zabijany wół, zaszyłem się w najdalszy kąt ...

Długo w noc dochodziły westchnienia, ciche szlochy spod koców. Nazajutrz wolno było się poruszać spokojnie po całym bloku, więc też rozpoczęły się odwiedziny kolegów z innych bloków. Mój przyjaciel dostał dwie paczki, a ja nic. Po obiedzie na blokach śpiewano kolędy do samego wieczora. I tak w swobodzie i uroczystym nastroju minął pierwszy dzień świąteczny. W drugim dniu był już apel i więcej SS-manów kręciło się po obozie.

24. Transport do Mauthausen

Gdy ochotniczy zaciąg na wyjazd do kamieniołomów Mauthausen nie dał żadnego rezultatu, mimo, iż po trzyletnim pobycie można byłoby sobie żonę sprowadzić i być dalej już jako cywilny robotnik kamieniarski, pomysłowi kapo i blokowi wybierali sobie swoich nie-sympatyków, lub po prostu chwyтали pod kantyną wieczorami spóźnionych więźniów. I tych więźniów numery podali do kancelarii jako ochotników. W końcu grudnia czy też zaraz po Nowym Roku wyjechał ów transport do Mauthausen, a ponieważ brakło jeszcze kilkudziesięciu, dobrali z karnej kompanii z napisami *Im Lgr*.

25. Transport radomski *im Lager*

W tym samym mniej więcej czasie, przed transportem do Mauthausen, przywieziono z Radomia około 500 więźniów, których bezpośrednio umieszczono w karnej kompanii. Po kilku dniach ujrzałem ich przy odgarnianiu śniegu, sińce na twarzach pozwoliły mi się domyśleć, dlaczego nie wychodzili na obóz. Wszystkim dano owe napisy *Im Lgr*. Po miesiącu w obozie nie było już żadnego więźnia z tego transportu.

26. Transport do Hamburga

Korzystając z łaski mego blokowego, który uznał mnie nareszcie za prawie niezdolnego do pracy, przeniesiono mnie wraz z trzydziestu kilkoma na blok 11. Tu po raz pierwszy dowiedziałem się, że obecna moja waga jest 38 kilogramów (normalnie ważyłem 76). Na nowym bloku znów uznano mnie za dość zdrowego, bym mógł nosić kotły z kuchni do bloku. Nogi i ręce miałem w straszny sposób odmrożone, aż brzydziłem się jeść, gdyż wstrętna woń przyprawiała mnie o mdłości. I takimi rękami, na które jeszcze wylewała się gorąca kawa z kotłów, oraz w drewnianych trepkach z poprzylepianymi grudami śniegu, musiałem

nosić ciężar 60 kg na dwóch. A ile razy się przewróciłem, wylewając trochę kawy czy zupy – wiadoma zapłata. Jedyne, co mnie pocieszało, że po wydaniu jedzenia z kotłów dawano mi do mycia kocioł. O, wtedy zapominałem o trudach przynoszenia go, tylko skwapliwie wylizywałem w najmniejszym zakątku każdą kroplę drogiej zupy. O ile do niesienia nie znajdowałem nigdy pomocników, o tyle do wylizywania, to człowiek musiał się oganiać naprawdę jak pies.

Po trzech tygodniach zrobiono czystkę i znalazłem się na obozie, gdzie pracowałem przy wykopach pod fundamenty, plantowałem drogi, woziłem taczkami ziemię na nasyp i wiele podobnych zajęć wykonywałem na wolnym powietrzu. Pod koniec kwietnia podczas apelu (czy też zrobiono specjalną zbiórkę) przybyła jakaś większa komisja, która – przechodząc kolejno przed każdym szeregiem – wybierała przeważnie mocniejszych i zdrowszych więźniów, których numery były zapisywane. Po tej komisji w trzy dni ubrano wybranych w mundury dahaowskie i odjechali do Hamburga do pracy w dokach i uprzątnięcia ruin po bombardowaniach. Lecz jakie zdziwienie spotkało komendanta w Hamburgu, gdy zobaczył, że przywieziono mu same kaleki, z poodmrażanymi rękami itp. Stało się tak dlatego, że wybrani zdrowi i silni byli przeważnie ulubieńcami kapo i blokowych, którzy przemienili ich przez znajomości w kancelarii. Mój chory przyjaciel bez własnej woli w nocy został zbudzony i musiał się przygotować do wyjazdu z transportem, a w sześć dni po przyjeździe do Hamburga zmarł. Warunki w obozie w Hamburgu były bez porównania lepsze niż w przeklętym Oświęcimiu.

27. Egzekucje zbiorowe

W miarę, jak nadchodziły wyroki śmierci z poszczególnych placówek gestapo i gdy ich uzbierało się kilkadziesiąt, wówczas obierali sobie oprawcy hitlerowscy jeden z naszych dni świąt narodowych (19 marca, 3 maja, 11 listopada) dla wykonania zbiorowej egzekucji. Pierwsze egzekucje odbyły się na oczach wszystkich niemal więźniów. Za kuchnią obozową były wielkie doły po wykopanym żwirze, tam przebrani w mundury więźniów z Dachau skazańcy po apelu wieczornym zostali zaprowadzeni. Z boku stały przygotowane trumny do odniesienia ciał do krematorium. Na dany znak SS-manów rozpoczęli strzelanie do skazanych więźniów, kopiąc ich i spychając do dołów. Po czym dobijali swe ofiary z bliska, następnie odniesiono zabitych do krematorium. Po kilku miesiącach egzekucje te przybrały bardziej europejski wygląd. Specjalny pluton SS-manów w hełmach, z karabinami, pod dowództwem podoficera, który trzymał w ręku akta, wkraczał na teren karnej kompanii. Tu

przyprawiano wyczytanych więźniów, których ustawiano pod czarnym ekranem na piasku i oddawano salwę.

28. Ucieczki i odpowiedzialność ogółu

Gdy pierwszy więzień uciekł, przecinając sobie drut pod samą budką strzelniczą w nocy, nazajutrz staliśmy kilka godzin na placu w półprzysiadzie. Za następnego więźnia zbiegłego z obozu oprawcy pojechali do miejsca jego zamieszkania, gdzie złapali trzydziestu sześciu mężczyzn i rozstrzelali ich na oczach miejscowej ludności, zaś ciała zabitych przywieźli do obozu, gdzie spalono je w krematorium.

Różne metody stosowali. Mój kolega, idąc rano do pracy, pożyczył ode mnie moje lepsze buty i kawałek chleba. Niczego się nie domyślałem. Na obiadowym apelu stwierdzono brak jednego więźnia, powtórzono obliczenia i okazało się, że to w naszym bloku brak. Rozbito nas na sztuby, każdy sztubowy sprawdzał podług listy... Mój kolega nieobecny. Przy ryku syreny rozbiegli się żołnierze, przetrząsając wszystko, co mieli pod ręką, tymczasem dookoła naszej grupy zebrała się sama świta i namyślała się, co z nami zrobić. Pytano o przyjaciół zbiegłego, jeszcze chwila, a wybrano by z nas do bunkra. Lecz krzyk od podwórza drzewnego oddalił oprawców. Przyprawiono Janka, zbroczonego krwią. Zaraz znaleźli wielki bęben, Janka ubrali w duży papierowy kapelusz i zasadzili mu tyczkę z tabliczką: *Ich bin wieder da*. Po czym postawiono go na wzniesieniu z piasku, gdzie stał około pół godziny, waląc z całej siły w bęben, następnie przeprowadzono go przed wszystkimi blokami i dano chłostę. Następnie ogłoszono, że – korzystając z łaski komendanta obozu – dostaje 32 dni bunkra. Powędrował do lochów karnej kompanii. Za cztery dni, odnosząc zmarłych do krematorium, widziałem go leżącego, w okrutny sposób zbitego, pokaleczonego. Na miesiąc przed próbą tej ucieczki Janek dostał list od żony, która zawiadamiała go, że urodził im się pierwszy synek. Jakież on był dumny, jak chciał go widzieć.

Od tej pory za każdą ucieczkę nie odpowiadał ogół obozu, lecz tylko grupa pracujących lub sztuba, z której pochodził zbiegły. Wybierano wówczas dziesięciu, później – kiedy ucieczki nie ustawały – brano piętnastu i dwudziestu. Nieraz za zbiegłego wzięto więźniów do bunkra, gdzie zwykle po kilku dniach rozstrzeliwano ich, a po paru tygodniach zbiegłego więźnia przyprawiano do obozu. Jeśli który więzień myślał o ucieczce, nie chwalił się tym przed nikim, bo byłby wydany. Wielu poszło do karnej kompanii za rozmowę o sposobie ucieczki z obozu. Jeden z kapo, jakiś baron niemiecki, pojechał z SS-manami do

Katowic, gdzie przez sklep zegarmistrzowski uciekł im. SS-mani, którzy z nim byli, zostali wtrąceni na kilka dni do bunkra.

29. Pierwszy samochód do SK

Wiosna, jak jesień, była bardzo brzydka, ciągłe deszcze i nieprzepuszczalny grunt, powodowały olbrzymie błoto. Umazani, zmoczeni więźniowie po kilka dni chodzili w mokrych ubraniach.

Pracowałem w dalszym ciągu pod gołym niebem, modląc się, by jakimś sposobem dostać się do pracy pod dach. Jako radiotechnik marzyłem o pracy w warsztatach radiotechnicznych, jeden kolega inżynier obiecał mi poparcie u kapo elektrykarzy. Długo czekałem, aż któregoś dnia zobaczyłem go w karnej kompanii. Okazało się, że wszystkich dziewięciu radiotechników wsadzono do karnej kompanii, bo żołnierz zobaczył jeden odbiornik nastawiony strzałką na Londyn. Za kilka dni poszukiwano radiotechników, [ale] nie zgłosiłem się. Wyłowiono mnie na bloku, powiedziałem, że widocznie pomyłono się w kancelarii, gdyż jestem rolnikiem. Troszkę mi się dostało, ale uszedł tej niezbyt bezpiecznej pracy.

Z osłabionych i chorych utworzono wielką kolumnę, której używano do przenoszenia cegły i innych materiałów z kolei. W tej grupie pracowałem przeszło dwa miesiące, aż któregoś dnia spróbowałem szczęścia i kiedy kapo lagru chciał ochotnika, zgłosiłem się do niewiadomej pracy. Okazało się, że potrzebny był czyściciel ulic do zamywania. Dano mi taczki, miotłę, łopatę i przydzielono do polskiego kapo.

To była najlepsza praca moja w obozie, więc też trzymałem się jej wszystkimi siłami. Cały dzień zamywałem ulice i wywoziłem śmieci taczkami na śmietnik. Nie znaczy to, bym w tej pracy nie był uderzony, ale stosunkowo najmniej ciosów tu się odbierało. Pracowałem około trzech miesięcy.

Po rozpoczęciu działań wojennych rosyjsko-niemieckich do obozu całą noc i w porze obiadowej przyjeżdżały zakryte szczelnie auta, które wjeżdżały na teren karnej kompanii. Bardzośmy się dziwili i ciekawili, ale zagadka nieprędko się wyjaśniła. Którejś nocy przywieziono kilku samochodami nieznanych ludzi, których po kąpieli zabrano do karnej kompanii. Po kawałkach szmat i ubrań zorientowałem się, że byli to Rosjanie. Po paru tygodniach przyszedł w nocy bardzo duży transport Rosjan, których rozmowy słyszeliśmy przez otwarte okna. Pomordowanych w bestialski sposób wywożono nocą w niewiadomym kierunku.

30. Uśpienie zastrzykami

Gdzieś około czerwca powiedziano nam, że chorych poważnie na płuca i inne zakaźne choroby mają wywieźć do obozu w górach, gdzie jest dobre powietrze i lekka praca. Wielu zgłosiło się do owego transportu, w tym kilku moich kolegów. Komisja lekarska z komendantem obozu dokonała przeglądu chorych i po paru dniach wyjechali. Jak się później okazało, transport tych chorych liczył około 300 więźniów i wszyscy zostali uśpieni zastrzykami.

31. Transport inwalidów do Lipska

W połowie lipca ogłoszono znów, że wszyscy inwalidzi, tak wojenni, jak obozowi, którzy mają silne wady organiczne, mogą się zgłosić na wyjazd do Lipska. Mój najserdeczniejszy przyjaciel Rysiek, z którym nie rozstawałem się przez cały czas obozu, stanął w szeregach inwalidów, gdyż wskutek jakiejś kary dyscyplinarnej miał flegmonę prawej nogi. Po wyleczeniu noga była zgięta i krótsza. Poza tym był zdrowy i pracował pod dachem, więc miał wszelkie warunki ku temu, by przetrwać w obozie. Nie byliśmy zawsze na jednym bloku, rozdzielono nas, ale dzięki sprytowi i przyjaźni jeden o drugim wiedział codziennie, gdzie jest i co robi towarzysz. Po komisji takiej mniej więcej jak poprzednia wieczorem ubrano ich we własne ubrania i około północy wymaszerowali poza obóz. Widziałem Ryśka, jak – kulejąc – siedł roześmiany. Odjechał mój najlepszy przyjaciel, ale przyrzekliśmy sobie, że który pierwszy wróci, zawiadomi najbliższych o spędzonych chwilach. Po powrocie z obozu, gdy mi tylko siły pozwoliły, poszedłem do jego siostry, a ta pokazała mi telegram, że Rysiek zmarł w Oświęcimiu w drugiej połowie września. Co jest zupełnie niemożliwe. Gdyby przebywał na terenie obozu, na pewno zawiadomiłby mnie. Potem dopiero dowiedziałem się, że cały transport około 500 inwalidów był wyduszony pod Brzezinką, pod Oświęcimiem.

32. Rozgródzenie obozu, utworzenie nowego dla jeńców

We wrześniu transporty rosyjskich jeńców wojennych do karnej kompanii wzmogły się, już i w dzień wywożono wozami trupy. Władze obozu rozgrodziły nasz obóz wysokim parkanem pod prądem elektrycznym, tak że dziewięć budynków tworzyło: *Kriegsgefanenarbeitslager*, a pozostałe budynki, znajdujące się po prawej stronie ogrodzenia, były naszym obozem koncentracyjnym.

Na kilometr przed obozem założono specjalną łaźnię i rozbieralnie, skąd gnano czwórkami nagich więźniów do ich obozu. Część jeńców oddzielano i kierowano do karnej kompanii,

mówiąc, że to są ludzie NKWD, ale okazało się potem, że byli to przeciętni jeńcy, którzy wyróżniali się lepszą budową ciała i zdrowiem.

Jeńców w obozie katowano nie mniej niż nas. Jedzenie dawano im jeszcze gorsze i mniej. Śmiertelność w tym obozie była wprost zastraszająca, a nowe transporty wciąż napływały. Po moim wyjeździe obóz przeniesiono do nowo wybudowanego pod Oświęcimiem, który był wystawiony z cienkiego betonu. Tam też resztę jeńców wykończyli w bardzo krótkim czasie.

33. Regulacja rzeki Soły i wydobywanie żwiru

Jedną z najcięższych robót była regulacja rzeki Soły. Pociągnęła ona wiele ofiar. Praca była całodzienna, w wodzie po pachy, tempo dla rozgrzewki przemoczonych więźniów było dość szybkie. Gdy który z więźniów za wolno się poruszał, przemiły kapo włożył mu na barki i kazał się wozic po rzece. Gdy siły odmówiły posłuszeństwa biednemu więźniowi i potknął się, wówczas kapo wciskał go pod wodę dla spróbowania jej smaku, trzymał go tak parę minut, po czym nieprzytomnego wynoszono na brzeg, gdzie robiono mu sztuczne oddychanie, a nieraz zostawiając go bez pomocy. Wydobywanie żwiru odbywało się mniej więcej w podobny sposób, gdy była woda. W każdym bądź razie praca była bardzo ciężka, wracające grupy codziennie przynosiły wielu wykończonych.

34. Wypadek podczas pielenia buraków

Kilka dużych grup po stu ludzi chodziło parę kilometrów od obozu pleć buraki i brukiew. Praca nasza była przy samym torze. W pewnym momencie przejeżdżał wolno pociąg Niemieckiego Czerwonego Krzyża z rannymi z placu boju. Jeden z kolegów powstał z klęczek i – robiąc jakieś niewiadome ruchy – zaczął krzyczeć i weselić się, że już wkrótce diabli Szkopów wezmą. Doprowadzeni do wściekłości SS-mani i kapo rzucili się między nas, tratując, kopiąc bez wyjątku wszystkich. Bardzo dużo zamordowanych przynieśliśmy do obozu, gdzie czekał na nas komendant, który w krótkich słowach całą grupę stu ludzi przekazał do karnej kompanii. Była to setka, z której pochodził ów kolega. Na nas natomiast odbijali sobie kapo i SS-mani przez cały tydzień.

35. Warsztaty

Pracować w warsztatach było marzeniem mas. Każdy tam się garnał, czy fachowiec, czy nie. Liczba pracujących w warsztatach była ściśle ograniczona, a gdy kto umarł lub zachorował, zaraz znajomość pomagała w dostaniu się. Wielu dobrych fachowców konało przy pracach

wolnych, a miejsca w warsztatach były obsadzone przez ulubieńców, którzy w ten czy inny sposób dostali się tam. Kiedy powstał obóz dla jeńców wojennych, czyścicieli ulic poddano redukcji, gdyż zmniejszył się teren do sprzątnięcia. Ja nie miałem czym zapłacić swojemu kapo, więc zostałem wyrzucony. Przez parę dni stawałem obok dawnej swej grupy, a po zbiórce chodziłem z taczkami po całym obozie. Kapo kilka razy mnie spotkał, odebrał mi taczki i inne narzędzia. Aż przyszedł mi z pomocą mój kolega stojący na bramie, odbierający rowery od SS-manów, który po zbiórce kazał mi przychodzić na bramę i tu pomagał mi, czyszcząc rowery. To była praca nieoficjalna, nie byłem podległy nikomu. Koledzy zazdrościli mi tak spokojnej pracy, która dlatego, że pod okiem samych katów, była najbezpieczniejszą. Po rannym apelu wszyscy ustawiali się w grupach i odmaszerowywali na miejsce swojej pracy. Defilada odbywała się na placu przed jednym ze starszych więźniów, który liczby zapisywał w raporcie, dalej defilowało się przed orkiestrą i komendantem. Trzeba nieszczęścia, że sam komendant przyjmować miał raporty i zapisywać grupy. Jak zobaczyłem komendanta na placu, dookoła rozstawieni kapo, niemożliwe było zwianie z placu gdzieś na bok, serce wychodziło mi gardłem... a grupy za grupami podchodzą przed komendanta i meldują swoje komando i liczbę pracujących. Stałem przy czyścicielach, kapo ich ze śmiechem usunął mnie na bok, poszedłem do paru innych grup, błagałem by mnie przyjęli – na próżno. Wreszcie wróciłem i stanąłem obok grupy czyścicieli. Jeden drugiemu pokazywał mnie sobie i śmiali się do rozpuku. Myślałem, że oszaleję, w głowie puls mało nie rozsądził czaszki, jeszcze chwila, a cały obóz będzie ze mnie miał widowisko. Moi koledzy czyściciele już maszerują w stronę komendanta i oglądają się na mnie. W odpowiednim momencie poderwałem się do postawy zasadniczej, zrobiłem w prawo zwrot i sprężystym krokiem, mokry od potu, ruszyłem naprzód, wielkim półkolem podszedłem pod komendanta, zachowując przepisana odległość, robiąc nad wyraz udanie efektowne zdjęcie czapki. Zatrzymałem się przed komendantem, zrobiłem zwrot w jego stronę i grubym poważnym głosem rzekłem, że tu idzie komando czyścicieli rowerów (*Farradputzer*) w ilości jeden. Patrzyłem w oczy przekłętego komendanta, badał mnie, a więzień zapisujący zastanowił się, nie wiedząc, gdzie mnie zapisać. Spytał, czy jest takie komando pracy, na co ja poważnie, nie spuszczać oczu z komendanta, rzekłem że tak jest. Komendant kiwnął głową. Setki więźniów przyglądało się temu, a potem miałem gratulacji nie do policzenia. Po kilku dniach zastępca komendanta, dając mi rower do wyczyszczenia, coś powiedział, odpowiedziałem, że nie rozumiem, uderzył mnie w głowę i powiedział, że nie chce mnie już więcej oglądać na bramie. Po kilku dniach wąłesania się *Scharführer* z rusznikarni zapragnął

jednego rusznikarza. Nie miałem pojęcia o broni, poza zaznajomieniem się z nią w wojsku, a że służyłem w pułku radiowym, więc tylko umiałem jako tako rozebrać karabin. Chęć i konieczność znalezienia pracy z uwagi na nadchodzącą zimę, nie pozwoliły mi zauważyć, że nikt w obozie nie przyznawał się do zawodu rusznikarza. Po krótkim egzaminie, który wypadł znakomicie (wierzę w cuda) pracowałem z jednym kolegą w wielkiej celi zamkniętej na klucz. Nasi poprzednicy więźniowie nie żyli i znikli w zagadkowy sposób. Pogodziłem się z tym, że i mnie niedługo komin nie ominie, pracowałem, Bogu dziękując za łaskę z nieba.

36. Budowa nowych bloków

Najliczniejszą ze wszystkich grup pracujących była grupa murarzy, cieszyła się ona nawet pewnymi przywilejami, jak dodatkowe porcje chleba lub zupy. Pracowałem w niej kilka tygodni, póki mi siły nie odmówiły posłuszeństwa. Pod kierownictwem polskiego inżyniera więźnia wznoszono nowe budynki mieszkalne dla więźniów. Za pracę na tym polu inżynierów został zwolniony z obozu i potem przyjeżdżał kilkakrotnie na inspekcję. Nowe budynki były obszerne i wygodniejsze od starych bloków.

37. Nowsze urządzenia na blokach

Do nowszych urządzeń na blokach należy zaliczyć przede wszystkim skanalizowane, obszerne i dość wygodne ubikacje oraz umywalnie z dużą liczbą kranów. Podłogi były robione z masy zaciągniętej czerwoną pastą, wprowadzono trzypiętrowe łóżka, szafki na drobne rzeczy i stoły z ławkami do siedzenia przy obiedzie. My, starzy lagrowcy przyzwyczajeni do dawnych niewygód, dziko trochę czuliśmy się na nowych blokach, gdzie znów czystość i specjalne regulaminy nie dawały nam chwili wytchnienia.

38. Międzynarodowe komisje Czerwonego Krzyża

Kilkakrotnie zdarzyło się, że do obozu przyjechały komisje międzynarodowe, które oprowadzano w bardzo pomysłowy sposób, pokazując tylko to, czego w obozie w zasadzie nie było. Przy dźwiękach odświeżonej orkiestry, po posypanych białym piaskiem ulicach komisję zaprowadzono do kantyny, do kuchni (jaki dobry obiad był wtedy), do najlepiej urządzonego bloku. W innych blokach, żeby kto z ciekawych nie zajrzał do wnętrza, ustawiono tabliczki z ostrzeżeniem, że tu panuje tyfus plamisty. Grupy chorych, które stały czasami całymi godzinami na dwudziestostopniowym mrozie, polewane z góry wiadrami wody, schowano na tyły obozu. Grupy, które musiały pracować na widocznym miejscu, ubrano w czyste ubrania.

39. Specjalne karne roboty niedzielne

Za przewinienia o mniejszym znaczeniu lub zanotowanie numeru przez kapo za chwilowy odpoczynek podczas pracy dostawało się kilka niedziel specjalnych robót karnych, gdzie pracowano wraz z karną kompanią. Ponieważ była niedziela, więc przychodziło się przyglądać naszej pracy wielu SS-manów, z których każdy miał coś do powiedzenia, względnie do wytłumaczenia upatrzonej swej ofierze. Cokolwiek by robili ci barbarzyńcy hitlerowscy, robili to przy współudziale reszty towarzyszy, przy ogólnej wesołości.

40. Masowe groby i stałe egzekucje w SK

Znikające w bramie karnej kompanii samochody, a później całe transporty jeńców wojennych rosyjskich i Polaków z innych obozów wojskowych, zostały wrzucone do bunkrów pod karną kompanią. Tam też zwyrodniali hitlerowcy uzbrojeni w pejczy, pistolety i inne narzędzia tortur siali okropną, męczeńską śmierć setek tysięcy ludzi. Gdy zwykłe wozy zaprzężone w więźniów nie nadążały wywozić zamordowanych ofiar, przeznaczono do tego celu specjalny ciągnik z dwoma przyczepkami, który kursował cały dzień, wywożąc zamordowanych z obozu. Będąc przeznaczony na blok wolnościowy, pracowałem w grupie około pięćdziesięciu czy czterdziestu więźniów, która rano wymaszerowywała cztery kilometry poza obóz, gdzie za wysiedlonymi wsiami, wśród lasów i pól kopaliśmy olbrzymie doły. Przeważnie doły były szerokości piętnastu, długości dwudziestu pięciu, a głębokości ponad trzy metry. Ciągnik z przyczepkami wyładowanymi pod wierzch trupami przyjeżdżał kilka razy dziennie, zrzucano pomordowanych do dołów, a gdy do powierzchni brakowało metr, zasypywano ciała wapnem i ziemią, równając powierzchnię. Przez parę tygodni mej pracy przy grobach zakopano w ten sposób 25 tys. wymordowanych w karnej kompanii.

Mała przydrożna chałupka służyła nam za schronienie się na pół godziny dla wypicia kawy. Pewnego razu jeden z SS-manów znalazł [tam] średniej wielkości wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Z wielkim śmiechem, w podskokach z zachwyty, że ma piękną zdobycz, ustawił obraz na stodole, a odszedłszy około ośmiu metrów, począł strzelać. Staliśmy w skupieniu, obserwując i ciesząc się, że ohydny bluźnierca nie może wycelować w obraz. Po wystrzelaniu całego magazynka zwołał pozostałych SS-manów, którzy kolejno strzelali. Kiedy każdy oddał po kilka strzałów, okazało się, że żaden strzał nie był celny. Obraz stał na stodole, nietknięty kulami bluźnierców. Szept modlitwy i zachwyt zgromadzonych więźniów.

41. Blok wolnościowy

Zupełnie niespodziewanie wyczytano moje nazwisko po apelu wieczornym, że zostaję przeniesiony na blok wolnościowy. Początkowo więźniów zwalniano bezpośrednio z bloków, ale sposób okazał się niedobry, gdyż więźniowie przeważnie w ranach od obozowego regulaminu szli na wolność, stając się namacalnymi dowodami systemu hitlerowskiego. Zarządzono i utworzono nowy blok specjalny, zwany wolnościowym, odseparowany od pozostałych.

Kwarantanna na bloku wolnościowym trwała od dwóch do czterech tygodni. W wyjątkowych wypadkach, przy silniejszych schorzeniach i uszkodzeniach wolnościowiec siedział nieraz kilka tygodni. Na bloku tym siedzieli też więźniowie, którzy przyszli do obozu na trzy do sześciu tygodni za jakieś niestawienie się do pracy lub ucieczkę od pracy, lub przedłużenie otrzymanego urlopu. Na bloku nie używano już kijów ani pejcza, najczęściej ręką szafowano razy. Do pracy nie prowadzono nas pod karabinami, lecz kilku SS-manów z pistoletami stanowiło całą osłonę. A co najważniejsze, że kto miał papierosy, mógł je palić nawet podczas pracy. Blokiem wolnościowym był początkowo blok 1, potem blok 19a i ostatnio – kiedy ja byłem – blok 11a, piętro nad karną kompanią.

42. Komisja wolnościowa, kąpiel, własne ubranie

Na dzień przed zwolnieniem rano wyszliśmy szeregiem pod mur. Na dany rozkaz trzeba było zrobić na papierek, następnie zawartość papierka pokazać pilnującemu nas SS-manowi. Następnego dnia rozebrani do naga stawaliśmy przed komisją wojskową, w postawie zasadniczej, pokazując ręce między palcami, nogi. Stałem przed komisją. O Boże, a nuż mnie nie przepuszczą, może coś wypatrzą! Gdy stanąłem tyłem do oficera, który mnie szczegółowo oglądał, nagle poczułem na prawym ramieniu zimny palec. Nogi zatrzęśły się pod mną, coś zabełkotał i kazał odejść. Myślałem, że to już koniec, ale pocziwy flegler wytłumaczył, że kazał mi zakleić plastrem rankę, którą miałem na ramieniu. Owrzodziałe nogi były dobrze zapudrowane, nie dostrzeżono ran i wrzodów. Po komisji pobiegłem do łaźni, tym razem nie poganiany przez nikogo. Następnie pobiegłem na strych, gdzie w papierowej torbie wisiąco moje ubranie. Ponieważ zostałem aresztowany w sierpniu, więc też ubranie moje było sportowe, a tu grudniowe powietrze, chłodziło znakomicie. Ale któżby patrzył na zimno. Sama myśl, że za kilka godzin zobaczę swoich, rozgrzewała.

43. Cyrograf i mowa pożegnalna

Z depozytu wydano mi zegarek i pieniądze, obrączkę natomiast pokazano mi tylko i powiedziano, że złoto ulega konfiskacie. Następnie staliśmy około półtorej godziny przed kancelarią komendanta za bramą obozu, czekając na odprawę. Przeczytano nam warunki zwolnieniowe i punkty, które mamy wypełnić co do joty. Punkty były takie mniej więcej: że nie wnosi się żadnej pretensji do władz za zagubienie jakichś przedmiotów osobistych, depozytów; następnie, że będzie się pomagało Niemcom przy wykrywaniu wrogów niemieckich i nigdy nie będzie się występowało przeciwko narodowi niemieckiemu; oraz, że zaraz po przyjeździe do miejsca swego zamieszkania zamelduje się we właściwej placówce gestapo i w *Arbeitsamcie*; następnie, że będzie się pracować dla dobra ogółu niemieckiego. Po podpisaniu cyrografu przyszedł komendant, obejrzał nas szczegółowo i wygłosił mowę pożegnalną, kończąc słowami, że jeśli kto będzie się pytał, jak jest w obozie w Oświęcimiu, byśmy uprzejmie oznajmiali, iż może ciekawy pojechać tam, a zobaczy najdokładniej.

44. Na stacji w Oświęcimiu

Po mowie komendanta obozu jeden z SS-manów wziął nasze *entlassungsscheiny* i pomaszerowaliśmy w kierunku stacji. W drodze nieśliśmy jednego kolegę, który zemdłał z braku sił. Na stacji konwojujący SS-man wręczył każdemu dokument zwolnienia. Obstąpili nas ludzie, dawali papierosy, chleb, co kto miał. Po półgodzinie grupa byłych więźniów Oświęcimia w liczbie pięćdziesięciu sześćdziesięciu pojechała w kierunku Warszawy.

45. W Katowicach

Na stacji w Katowicach musieliśmy się przesiadać do pociągu na Warszawę, który miał nadejść na godzinę. Wyszedłem zobaczyć miasto. Przed dworcem podszedł młody człowiek, od razu spojrzał i rzekł, że muszę wracać z obozu. Bałem się każdego człowieka, w każdym widziałem ukrytego gestapowca. Młody człowiek chciał mi dać pieniądze, nie przyjąłem, więc dał mi kartkę na bułkę i powiedział, że naprzeciwko dworca w niemieckiej restauracji jest kelner Teofil czy Adolf, któremu jak powiem, że jestem z Oświęcimia, sprzeda mi zupę. Po chwili pocziwy starszy kelner dał nam po talerzu zupy. Sala była wypełniona po brzegi, gwar, pełno żołnierzy i kolejarzy niemieckich. Zjedliśmy zupę rekordowo szybko, po chwili kelner dał nam jeszcze po jednym talerzu zupy. Chleb rwaliśmy dużymi kęsami. W pewnym momencie zauważyłem, że na sali restauracyjnej zapanowała grobowa cisza. Uniosłem znad talerza oczy na stolik naprzeciwko. Patrzyli na nas. Patrzyli na nas ze wszystkich stron Niemcy i z powagą kiwali głowami. Zawstydiłem się, przypomniałem sobie, że ludzie używają noży.

46. W pociągu

Do pociągu nie wsiedliśmy wszyscy razem do jednego wagonu, bo kto wie, czy gdzie na stacji gestapo nie zawiadomi nas, byśmy się wrócili, że się może pomylili. Po dwóch, trzech w przedziale jechaliśmy ku utęsknionej Warszawie. Pasażerowie obdarowywali nas, czym kto mógł.

47. Warszawa

Około godziny trzeciej w nocy zajechaliśmy na Dworzec Główny. Większość kolegów była zdania, że trzeba natychmiast, jeszcze w nocy, iść najpierw w al. Szucha, gdzie po zameldowaniu się dopiero iść do własnego domu. Ja z trzema kolegami z Pragi, nie patrząc na oburzenie innych, wsiadłem do pociągu i pojechałem na Dworzec Wschodni, bo kto wie, czy po przestąpieniu bramy w alei Szucha będę oglądał swoich.

48. Po przestąpieniu progu

Z Dworca Wschodniego szedłem ulicami Pragi, patrząc, czy zza węgła nie wyjdzie jaki żandarm i nie zawróci. Brama. Zadzwoiłem. Stary dozorca, człapiąc i kaszląc, pyta kto. Mówię nazwisko. Każe sobie powtarzać. Proszę, żeby nareszcie otworzył. Otworzył i złapał mnie za szyję, całując jak własne dziecko, rozrzewnił mnie starowina. Zapukałem do drzwi i do okna, żona kilkakrotnie mnie zapytywała, kto jestem, a ja – milcząc – stałem i patrzyłem na żonę, czy to sen, czy naprawdę cud. Teraz uwierzyłem, że to już minęło, że wolny.

49. Meldowanie się

Nazajutrz, po wyspaniu się i najedzeniu, umyciu i wypoczęciu, przebrani po zimowemu, pojechaliśmy około południa w al. Szucha. Przez duży dziedziniec do dużego holu, tu przepustka, na pierwsze piętro, pokój 113. Kilka pytań o treści ewidencyjnej i rozkaz, by się meldować w *Arbeitsamcie*. Za tydzień w *Arbeitsamcie* urzędnik dziwił się, że tak świetnie wyglądam.

Wyglądałem naprawdę świetnie, byłem gruby, prawie okrągły i miękki jak purchawka, nadęty. Za naciśnięciem palca powstawał dołek i powoli wyrównywał się. Po kilkadziesiąt wrzodów na każdej nodze goiło się powoli. W nocy pływałem we własnym pocie, łało się ze mnie. A sny nie dawały mi spokojnie spać przez parę miesięcy. Zrywałem się, krzyczałem obozowymi wyrazami. Całe rzesze odwiedzających i zapytujących o swoich bliskich traktowałem bardzo oględnie, jakby byli z wywiadu gestapo. Nerwowy do przesady, prawie wariat. Powoli wracałem do zdrowia.

Po trzech miesiącach byłem zdrow. Po roku od chwili powrotu odezwały się sprawy kostne. Okazało się, że mam skrzywienie kręgosłupa, uszkodzenie małej miednicy, skrzepy (krwiaki), które powodują co pewien czas paraliż niektórych mięśni. Po moim powrocie zwolniono jeszcze dwa transporty więźniów, tak że po ostatnim transporcie nie było już większych zwolnień, tylko indywidualne. Razem wróciło do Warszawy z Oświęcimia normalnie zwolnionych 315 aresztowanych. Z chwilą, kiedy Niemcom zaczęło się źle powodzić, zaprzestali zupełnie zwalniania i na pewno żałowali ci barbarzyńcy hitlerowscy, że wypuścili aż tylu świadków swych morderstw.

Śmierć hitlerowskim barbarzyńcom.

Warszawa, 10 lutego 1945 r.

Schutzhäftling Pole

Górski Antoni

Gef. nr 2 191 blok B

Warszawa, Praga, ul. Otwocka 7 m. 27

Jako uzupełnienie moich wspomnień o pobycie w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu złożonych w dniu 10 lutego 1945 r. na ręce Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie, niżej podaję listę katów hitlerowskich i innych sługusów niemieckich oraz listę więźniów będących równocześnie ze mną w obozie, których znałem, i ich losy.

Lista katów:

FRITZ – komendant obozu w roku 1940 i 1941, suchy, w wieku około 48 lat, sadysta specyficzny, podobno zabity w Warszawie w fabryce Schichta w roku 1942.

PALICZ – *Rapportführer*, tęgawy, o grubych nogach, typowy Szkop, o okrągłej świecącej twarzy, w wieku około 37 lat, specjalista do spraw bunkra.

LALKA – *Scharführer*, szczupły, wysportowany, w wieku około 23 lat, wiecznie chodzący z pejcem i wilkiem, potrafił w wyrafinowany sposób znęcać się nad bezbronnym więźniem używając psa i pejsza.

WIECZOREK – *Lageraltester I*, wielki jakby marynarz, atleta, stary kryminalista, w wieku około 46 lat, podobno pochodzenia polskiego, lecz nie mówił nigdy po polsku, tłukł bardzo dokładnie, łasy, o pomarszczonej twarzy.

BRODZIŃSKI albo BRODNIEWICZ – *Lageraltester II*, niższy od poprzedniego, brunet, śniady, przystojny, też przyjechał jak[o] pierwszy z Niemiec jako stary kryminalista, lecz był na pewno Polakiem, mówił po polsku, gdy nie było przy nim innego Niemca. W wymiarze kary był przykry, ale nad ciężko chorymi miał litość i był wówczas sprawiedliwy. W wieku około 40 lat.

MIKI – kapo i *Lageraltester*, wysoki, szczupły na twarzy, w wieku około 36 lat, miał za sobą 11 lat obozów, mówił po polsku z chłopską i jakby seplenił trochę, komik, ale i wielki sadysta, za najmniejsze przewinienie bił bez opamiętania.

RUDI – kapo z późniejszych kryminalistów, wysoki, śniady, brunet o niebieskich oczach, w wieku około 22 lat. Specjalista od bicia w głowę pałką dębową, którą wiecznie nosił z sobą i znienacka z tyłu bił więźniów.

ADOLF – wysoki, rudawy blondyn, narwaniec, arcyłotr i sadysta w wymiarze kar, w wieku około 35 lat, przeważnie urzędował na *Industriehofie*.

KAROLEK – blokowy na 8 bloku, Ślązak, wielki blondyn w wieku około 35 lat, początkowo okropny sadysta, później, kiedy sam wpadł do SK za pijaństwo, poprawił się.

Zastępca tego blokowego – krakowianin, przewyższał bardziej swego przyjaciela, średniego wzrostu, szatyn, w wieku około 24 lat.

PAULEK – sztabowy czwartej sztaby, niski, szczupły Ślązak, w wieku około 27 lat, jakby głupi, straszny w sadyzmie, podczas bicia dostawał szału, traktując bitego bez opamiętania.

SZKANDERA – sztabowy 8 sztaby, wysoki, podobny do charta, o wielkiej, chudej, kościstej twarzy z wysuniętą dolną żuchwą, w wieku około 38 lat, były policjant polski z pierwszym warszawskim transportem przywieziony. Wstrętny sadysta, wielu ludzi wykończył.

WIŚNIEWSKI czy WIŚNIEWSKI – sztabowy na 8 bloku, niski blondyn w wieku około 32 lat, szczupły, o wystających kościach policzkowych.

ŁAGODA – Polak z pierwszego transportu warszawskiego, pracował jako pomoc kapo murarskiego, sam murarz, na robocie zawsze umiał zarządzać i nieźle bić współtowarzyszy przy lada okazji. Na swoim bloku 10a pracował przy sprzątaniu umywalni i tu duże zasługi poniósł na polu wykańczania. Wypuszczony na wolność w marcu 1942 r. Ma dom na rogu ul. Otwockiej i Łomżyńskiej na Pradze.

GURBIEL – sztubowy na bloku 11 (*Korperschwach*), Polak z drugiego transportu warszawskiego, początkowo dobry chłopiec, lecz gdy był dłużej sztubowym, wybitnie znęcał się nad chorymi, nie szczędząc rąk i nóg. To mój kolega, może musiał, ale mógł nie chcieć zostać sztubowym dla miski zupy. Mieszka na Żoliborzu, przy ul. Mickiewicza 16.

Zastępca blokowego czy *Schreiber* na bloku 3a, podobno wiceminister sprawiedliwości, Polak, na przełomie roku 1940/41, szczupły, dobrze zbudowany, wysoki, w wieku około 30 lat. Wydatnie pomagał do wszelkiego wymiaru sprawiedliwości hitlerowskiej.

I wielu innych, których nazwisk i przezwisk nie przypominam sobie, lecz z fotografii zawsze poznam.

Lista znanych mi więźniów:

WOJCIECHOWSKI – adwokat, syn prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, przywieziony w pierwszym warszawskim transporcie, chorował kilkakrotnie na *durchfall*, zmarł na wiosnę 1941 roku na izbie chorych.

SUPIŃSKI – sędzia sądu w Warszawie, zmarł na jesieni 1940 roku z wycieńczenia.

GRUSZCZYŃSKI – adwokat, był męczony na placu, kiedy z ich bloku uciekł jeden więzień; zmarł w lecie roku 1941.

GIEYSZTOR – komendant straży pożarnej w Warszawie, zmarł w szpitalu na złą przemianę materii, nie przyjmując pokarmów w zimie roku 1940.

NIEPOKOJCZYCKI – dyrektor Tramwajów Miejskich w Warszawie, był w roku 1941 i mówiono, że umarł w szpitalu.

TOŁŁOCZKO – elektryk radiowiec, pracował w warsztatach radiotechnicznych, wraz z całym personelem warsztatów wtrącony do SK, następnie wywieziony z transportem inwalidów do Lipska w lipcu 1941, ale prawdopodobnie zagazowany w komorze wraz z całym transportem.

DĄBROWSKI Ryszard – w wieku około 27 lat, niski, szatyn, niebieskooki; również wywieziony z transportem inwalidów.

WOYDYNÓ – syn generała, w wieku około 18 lat, bardzo chory, na bloku 11 został wypisany przez Gurbiela i w parę dni [później] zmarł na placu w zimie 1941 roku.

STAŻAK – z Ministerstwa Komunikacji, słynny za sanacji, zmarł na serce jesienią 1941 roku.

CHRÓŚCIELEWSKI – adwokat, zmarł na bloku chorych w zimie 1940 roku.

SAWICKI – urzędnik Banku Handlowego w Warszawie, przywieziony z więzienia na Montelupich w Krakowie, zmarł na bloku chorych w 1940 roku.

WARCHOŁ – zawiadowca stacji w Wołominie czy w Tłuszczu, zmarł wskutek pobicia za kradzież kolegom paczek świątecznych na bloku 8.

WARCHOŁ – syn poprzedniego, zmarł w tym samym prawie czasie, w SK za podjęcie pieniędzy z depozytu za innego kolegę.

KŁOS – warszawianin, młody, szczupły, wiecznie chory na *durchfall*, zmarł w szpitalu w roku 1940.

ŻELICHOWSKI Antoni – urzędnik wywieziony przymusowo do Hamburga w bardzo złym stanie, zmarł szóstego dnia po przyjeździe do Hamburga.

WYSOCKI Adam – pracował bardzo długo w szpitalu i grał w orkiestrze. Był członkiem chóru Dana. Wrócił do Warszawy przede mną.

JARACZ – artysta, był zwolniony przede mną, a po jakimś czasie znikł bez śladu w Warszawie. W Oświęcimiu organizował wesołe pogadanki i kuplety.

SAWAN-NOWAKOWSKI – został zwolniony na dwa tygodnie przede mną.

BORKOWSKI – jeden ze współników firmy Br. Borkowscy, zwolniony podobno za pieniądze po trzech miesiącach pobytu w Oświęcimiu.

SOLA – urzędnik, zmarł na bloku chorych wskutek pobicia i choroby nerek.

BARLICKI – poseł, pracował w pończoszarni i później w kartoflarni, trzymał się dość dobrze, ale na wiosnę w roku 1941 gdzieś znikł.

FRANKIEWICZ – redaktor z Łodzi, był kapo od zamykania ulic, wydatnie opiekował się księżmi, obsadzając nimi wolne miejsca pracy.

DERING dr – naczelný lekarz wśród Polaków w szpitalu, był razem ze swoim bratem.

URBANIK – chorąży z pułku radiotelegraficznego, przywieziony z transportem radomskim i wcielony do SK, po kilku dniach tam wykończony.

STOJEK-STOJKOWSKI – plutonowy z pułku radiotelegraficznego, przywieziony w tymże transporcie, trzymał się jeszcze ze dwa tygodnie dłużej.

SCHREIBER – stary twórca pieców przeważnie przez wojsko używanych, kilkakrotnie pobity przez PAULKA, zmarł jednej nocy w zimie 1941.

BANASIAK czy BARTOSIAK Teofil – przywieziony z pierwszym warszawskim transportem, pracował od początku do ostatniego dnia mego pobytu w obozie jako główny truponosz, niemal wszystkie trupy przechodziły przez jego ręce. Dokładne dane co do zamordowanych i gdzie miałem od niego.

GEDYCH Jurek – z mego domu, przywieziony z drugim warszawskim transportem, najprawdopodobniej zmarł wskutek wycieńczenia na bloku chorych zaraz po świętach 1940 roku.

NOWAK – urzędnik, pracował kiedyś w naszych warsztatach radiotechnicznych na ul. Trębackiej, był bardzo wycieńczony i prawdopodobnie wysłano go z transportem inwalidów do komory gazowej.

WALC – adwokat, przywieziony z pierwszym warszawskim transportem, zmarł na bloku chorych w lutym 1941 roku.

KURYLUK – nazwisko nieprawdziwe, student z Gdańska, pracował w Warszawie biurze przewozowym Syrena, w wieku około 29 lat. Zmarł z wycieńczenia w zimie 1940 roku.

KUC – dyrektor gimnazjum państwowego im. Żeromskiego w Kielcach, żył około trzech miesięcy w obozie, zmarł na serce i z wycieńczenia jesienią 1941 roku.

ŚWIĄTEK – sierżant pułku radiotelegraficznego, w kwietniu 1941 wywieziony do Hamburga.

MARCINKOWSKI – sierżant pułku radiotelegraficznego, jeden z najlepszych telegrafistów, przywieziony w lecie 1941, pracował w magazynach jako tłumacz, jakoś dawał sobie radę.

BIMBO – karzeł, cyrkowiec, bardzo dobry chłopiec w wieku około 30 lat, pracował jako maskotka przy bramie, dużo dobrego zrobił dla więźniów, koleżeński, lubiany. Był wraz z bratem młodszym, pochodził z Bochni pod Krakowem.

PATEJUK – przywieziony z transportem lubelskim, żołnierz z pułku radiotelegraficznego w wieku około 27 lat.

PENDYK – sierżant z pułku radiotelegraficznego, pracował przy elektrykarzach.

CHASZCZEWSKI – chorąży z pułku radiotelegraficznego, pracował przy kanalizacji, załamał się psychicznie, zmarł w listopadzie 1941 roku.

ANTONIEWICZ – właściciel składu mebli w Warszawie przy ul. Widok, przywieziony z pierwszym transportem warszawskim, długo chorował na *durchfall*, zmarł w zimie 1940 roku.

KIESZKOWSKI – administrator majątku Paszków, własności Banku Rolnego, przywieziony z pierwszym transportem warszawskim, pobity, długo chorował, po czym od wiosny 1941 roku nie widziałem go.

STRÓŻYŃSKI Józek – w wieku około 30 lat, syn sierżanta z pułku radiotelegraficznego, przechodził obóz bardzo ciężko, zwolniony wiosną 1942 roku.

CHRÓŚCIELEWSKI Edmund – w wieku około 28 lat, był w obozie około siedmiu miesięcy, zwolniony wiosną 1941 roku.

JAWORSKI Feliks – w wieku 50 lat, był [przywieziony] w drugim transporcie warszawskim, dużo chorował, zwolniony po piętnastu miesiącach w grudniu 1941 roku.

PIETRZAK Mieczysław – z drugiego warszawskiego transportu, zwolniony po piętnastu miesiącach w grudniu 1941, zam. ul. Białostocka 25.

WESTRYCH – volksdeutsch, mieszkaniec Pyr pod Warszawą, był kilka miesięcy, zwolniony, został zabity pod Piasecznem w roku 1943.

IPOHORSKI – po kilku miesiącach zwolniony z Oświęcimia, pracował na rzecz gestapo, został zabity w Warszawie, gdzie był kierownikiem teatru Jar.

PŁUŻYCZKA – robotnik rolny spod Tarczyna z drugiego warszawskiego transportu, wywieziony do Hamburga, potem do Dachau, zwolniony po dwudziestu miesiącach, bardzo chory.



SUSKI – właściciel mydlarni przy ul. Łochowskiej, z drugiego warszawskiego transportu, wywieziony do Hamburga, zwolniony wiosną 1942 roku.

GÓRSKI Stanisław – z drugiego warszawskiego transportu, chorował długo na nogi i najprawdopodobniej zmarł na bloku chorych w zimie 1941 roku.

WISŁOCKI – kuzyn doktora ze Szpitala św. Rocha w Warszawie, przywieziony z transportem radomskim w lecie 1941 roku.

Oraz wielu innych, których nazwisk w tej chwili sobie nie przypominam, ale z podobizny zawsze ich poznałbym.

Antoni Górski